ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 10 (162) • Październik 2020 • Cena 3,00 zł

ISSN 1897-4023

Zmiana kierunku i tempa...

Co pewien czas podejmujemy decyzje, nowe zadania, po drodze weryfikujemy, modyfikujemy, aż przychodzi czas na kategoryczną zmianę. Zmianę podyktowaną zmęczeniem materiału, zmianą okoliczności życiowych, niecierpliwością ochotnika na nasze miejsce i jeszcze z wielu innych powodów.

Moja przygoda z „Echem Złotoryi" w roli redaktor naczelnej trwa sześć lat - to jak odchowanie dziecka do wieku szkolnego. Wówczas nadchodzi czas nowych zadań, priorytetów i zainteresowań. Przychodzi ochota na coś nowego, chociaż wciąż jeszcze oglądamy się za siebie, by ogarnąć w pamięci efekty pracy i wystawić sobie ocenę. Lata pracy społecznej przyniosły wiele ciekawych znajomości i wydarzeń, z których część trafiała na łamy. Dobrzy ludzie nie żałowali pochwał, wielu gratulowało docieklowości w poszukiwaniu ciekawostek, nowinek i kompresowaniu wiedzy „rozdrobnionej". Z przyjemnością prezentowałam Państwu złotoryjan utalentowanych, pomysłowych i przedsiębiorczych. Dla urozmaicenia pokonywałam długie skoki z teraźniejszości do przeszłości i z powrotem.

Zawsze ważne było to, że „Echo Złotoryi" jest oczekiwane i poszukiwane w punktach sprzedaży, a także to, że od lat jest silnym atutem w wysokiej ocenie Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej – wydawcy czasopisma. Oby jak najdłużej...

Niniejszy numer jest ostatnim w mojej dziennikarskiej przygodzie z „Echem". Czas powrócić do odłożonych przed laty projektów i nowych pomysłów, bowiem przez lata ciekawego materiału uzbierało się aż nadto. A w życiu i w pracy twórczej jak na polu – żeby był urodzaj musi być płodozmian. Wewnętrzny warunek do działania jest – trzeba tylko odpocząć, by potem znów dać się ponieść.

Dziękuję serdecznie wszystkim, którzy kontynuowali lekturę „Echa" po zmianie redaktora naczelnego i tym, którzy przekonali się do tej podróży w trakcie mojego „redaktorowania". Wielu mogło mieć wrażenie, że na niektóre tematy patrzę przez szkło powiększające, ale to zawsze wynikało z mojego zakotwiczenia lokalnego. „Kotwic" nigdy nie brakowało – ciekawa historia, urodziwa architektura, tereny spacerowe – wszystko to mocno inspirowało.

Za tę wieloletnią pracę dziękuję moim współredaktorom, bo wszyscy na podziękowanie zasłużyli. Szczególnie tym, którzy nie wypadali z rytmu i z numeru na numer zapełniali łamy. Dziękuję za korektę tekstów, bo to także było nie lada wyzwanie. Dziękuję członkom TMZZ, którzy przez te wszystkie lata zajmowali się dystrybucją naszego miesięcznika. I wreszcie... dziękuję Damianowi Komadzie, który składał każdy numer, sprzątał po nas poprawki i był do dyspozycji bez ograniczeń. Dziękuję Danucie Sosie, która osiem lat temu tak długo zarzucała wędkę aż ryba połknęła haczyk.

Danuta Sosa również zamyka tę formę działalności społecznej.

Wysiadamy z exspresu, wybieramy nowy kierunek i przesiadamy się na rytm spacerowy...

Joanna Sosa-Misiak

Tak się z nami skontaktujesz...

Redakcja Echa:
internet:
www.facebok.com/echo.zlotoryi
e-mail: echozlotoryi@interia.pl
Spotkanie Redakcji Echa
(w poniedziałki 17.00-18.00)

Stowarzyszenie TMZZ:
internet: www.tmzz-zlotoryja.pl
(sprawdź też na facebooku)
e-mail: tmzz@tmzz-zlotoryja.pl

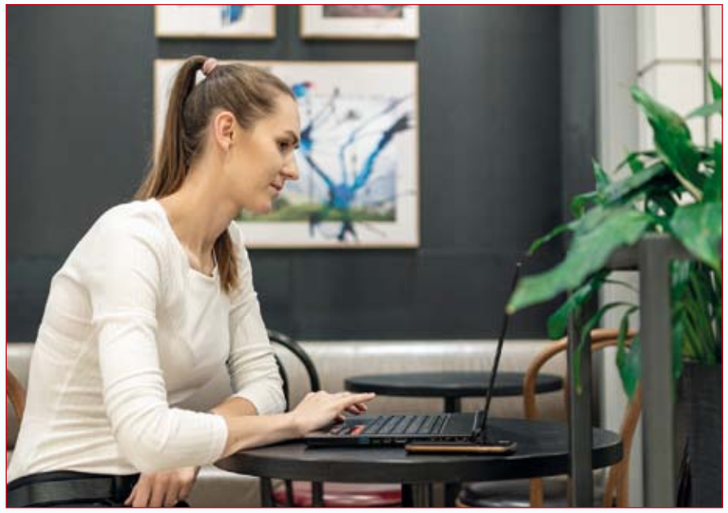

Aleksandra Roś

Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2019

Rok 2020 to rok niezwykły, w którym koronawirus zdominował każdą dziedzinę naszego życia. Tak jest i z tegorocznym wyborem Człowieka Ziemi Złotoryjskiej. Ogłoszenie wyników odbywało się dotychczas na początku roku, na uroczystej gali, która wypełniała złotoryjanami całą salę kinową ZOKiR. Było przedstawianie pięciorga laureatów, były emocje. Do końca nikt nie wiedział, kogo kapituła wybrała. Było zaskoczenie na scenie i bezcenna mina otrzymującego tytuł. W tym roku tego nie było. *„Już zapisani byliśmy w urzędzie, białe koszule na sznurze schły"*, jak zaśpiewałaby Maryla. Ale mijały kolejne miesiące, a gali wciąż nie można było zorganizować. Tajemnica, kto został Człowiekiem Ziemi Złotoryjskiej za 2019 r., zachowana została, aż do września. Był to wyczyn niespotykany na taką skalę. Jednak członkowie Kapituły Wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej nie mogli dłużej czekać z ujawnieniem tego wyboru. Tak, z lokalnej prasy, złotoryjanie dowiedzieli się o tym, że za rok 2019 tytuł ten przypadł młodej Aleksandrze Roś.

Ile lat ma Ola? Jest młodsza od mojej najstarszej córki i starsza od mojej młodszej. Uczyła się w złotoryjskiej podstawówce i gimnazjum, potem liceum w Legnicy i studia we Wrocławiu. Bardzo typowo jak na złotoryjską młodzież.

„We Wrocławiu zdobyłam licencjat na Uniwersytecie Ekonomicznym na kierunku zarządzanie w biznesie, a magisterkę z Ekonomii na Uniwersytecie Wrocławskim."
– wyjaśnia mi Aleksandra Roś.

„Mój pierwszy kontakt z tańcem to przedszkolne „tańce hulańce". Natomiast dziecięce lata przetańczyłam w Szkole Tańca „ŁAU" w Złotoryi. Zaczęło mi się to podobać na tyle, że w czasach liceum kontynuowałam tę pasję w szkole tańca „Flashdance" w Legnicy. Wtedy też rozpoczęłam weekendowe wyjazdy do wrocławskich szkół tańca, szkoląc się u różnych instruktorów. Tak poznałam ekipę ze Studia Tańca „Street Dance Academy", z którą współpracujemy do dzisiaj. Początki poważniejszej współpracy z SDA rozpoczęły się w pewne wakacje. Wraz z kilkunastoosobową grupą znajomych chcieliśmy potrenować pod okiem instruktorów z SDA. Napisałam więc maila do studia tańca z pytaniem, czy chłopaki zechcieliby przyjeżdżać do nas w każdą sobotę miesiąca i nas trenować. Ku naszej radości zgodzili się. Uzgodniliśmy, jakie koszty z tym związane mamy ponieść i jak się zorganizować, by mogło to funkcjonować. Już w pierwszy weekend września spotkaliśmy się w wynajętej sali w Złotoryi. Dalsze lata to nie tylko kontynuacja dobrej współpracy, lecz także jej rozwój." – mówi Ola. Te „chłopaki" z SDA, jak o nich mówi Ola, to Michał i Piotr Czyżewscy, często widywani w Złotoryi.

„Od początku do dziś to przede wszystkim instruktorzy tańca, z którymi współpracujemy, tworząc projekt „Złotoryja Tańczy". Doświadczeni w pracy z dziećmi, młodzieżą i rodzicami od wielu lat, wspierają mnie technicznie oraz swoją kreatywnością. Ich głównym zadaniem jest sprawiać, aby dzieciaki nauczyły się tańczyć i lubiły przychodzić na nasze zajęcia. Jednak w związku z tym, że mi co chwila wpada pomysł na coś jeszcze, a chłopaki, na szczęście mają zapał i energię do robienia nowych rzeczy, to pomagają mi w każdej innej sprawie. W tym także przy organizacji festiwalu. Projekt „Złotoryja tańczy" powstał trochę sam. Tak jak wcześniej wspomniałam, chcieliśmy trenować ze znajomymi w Złotoryi taniec, a wtedy nie było odpowiedniej dla nas oferty. Zatem stworzyliśmy ją sobie sami. Z czasem okazało się, że chętnych jest dużo więcej i są to również rodzice młodszych dzieci. Wtedy z pomocą przyszedł mój brat Grzegorz, który pokazał mi możliwość stworzenia oficjalnego projektu w Fundacji Rozwoju Człowieka „TROOD", której jest prezesem. Dzięki temu mogliśmy rozszerzyć działalność, uzyskać dofinansowanie, poprosić o wsparcie Urząd Miasta oraz prywatnych sponsorów. Teraz w projekcie uczestniczy osiem grup w dwóch miastach, bo powstała także grupa w Świerzawie.

Natomiast złotoryjski festiwal tańca, „Złotoryja Dance Arts Festival" pojawił się dużo później. Po paru latach działań i jeżdżenia z naszymi grupami na turnieje, festiwale i zawody taneczne po całej Polsce zamarzyło mi się stworzenia takiego wydarzenia w Złotoryi. Teraz to jest dwudniowe wydarzenie z wielkim rozmachem, a na taki rozmach potrzebni są sponsorzy.

W rozmowie z nimi staram się dobrze przedstawić naszą wizję na działanie i rozwój dzieci. Bo „zwykłe" zajęcia taneczne czy inne organizowane przez nas wydarzenia dają dzieciakom i młodzieży wiele pobocznych korzyści, których nie widać na pierwszy rzut oka. Szukamy również firm, którym my także możemy dać „coś od siebie", często są to np. występy podczas eventów firmowych.

Oprócz samych zajęć organizujemy liczne warsztaty taneczne. Ja jako osoba odpowiedzialna za działania fundacji, skierowanej głównie do dzieci i młodzieży, skupiam się także na organizacji obozów wyjazdowych dla dzieci „SDA Camp Kids & Youth", które w tym roku były już 6. edycją. Chłopaki natomiast organizują międzynarodowe warsztaty z choreografami z USA, na które przyjeżdżają tancerze z całego świata, miedzy innymi z Maroka, Szwecji, Australii czy Japonii. Kolejnym ważnym elementem w naszych działaniach są koncerty lub różne akcje charytatywne. Rok w rok we Wrocławiu organizujemy duży koncert charytatywny. Nagrywamy taneczne videoclipy z naszymi tancerzami, przy których współpracujemy także z różnymi artystami. Obecnie zakończyliśmy kolejny projekt „W Rytmie Rozwoju", który obejmował warsztaty taneczno-rozwojowe online. Jesteśmy też w trakcie przygotowań spektaklu tanecznego, o którym już niedługo będzie dużo głośniej. Jest on dotowany z grantu „Równać Szanse" Polsko - Amerykańskiej Fundacji Wolności.

Działaliśmy także w ramach Europejskiej Stolicy Kultury, gdzie pod okiem choreografki Andye Jamieson z Los Angeles i z wybranymi tancerzami z całej Polski przygotowywaliśmy teledysk pt. „Taniec społecznie zaangażowany", który w dalszym ciągu można obejrzeć na naszym kanale na youtubie. Tak naprawdę o projektach i działaniach, które realizujemy, można by mówić bardzo długo, ponieważ „walczymy" na wielu polach. Staramy się tworzyć nowe unikalne projekty, ale także rozwijać obecne lub aplikować je w nowe miejsca, a wszystko to dzieje się równocześnie. Zachęcam do obserwacji naszego profilu na facebooku lub instagramie, gdzie staramy się dzielić tym, co związane z naszymi działaniami, nie tylko tanecznymi.

Oczywiście w połowie marca tego roku musieliśmy zawiesić prowadzenie zajęć. Ale ponieważ mamy cudowne dzieciaki głodne tańca i kontaktu oraz ich rodziców, szybko bo już od kwietnia, weszliśmy w prowadzenie zajęć online. Spotkania odbywały się przez aplikację internetową. Dzieciaki tańczyły przed komputerami, a instruktor w taki sam sposób uczył choreografii, a później sprawdzał postępy. Od czerwca zgodnie z wytycznymi wróciliśmy na salę, stosując się do wszystkich obostrzeń. Wprowadziliśmy przerwy pomiędzy grupami, zmniejszona została liczba osób w grupach, dezynfekcja oraz pomiary temperatury. Na zajęciach dzieci tańczą normalnie, nie ma obowiązku ćwiczenia w maseczkach. W taki sposób działamy do dzisiaj i mamy głęboką nadzieję, że nikt nas nie zamknie ponownie.

Radość dzieciaków daje mi i innym ogromną energię do działania. Na każdych zajęciach widać w nich zapał do dalszej pracy, a co najważniejsze, jest to zaraźliwe. Na początku zaczynaliśmy z jedną grupą kilkuosobową. Obecnie jest około 120 dzieciaków nie tylko ze Złotoryi, ale i okolic. Energii dodają też rodzice, którzy pytają: „Co Państwo zrobili mojej córce, że cały dzień jest uśmiechnięta i zaczęła odzywać się do innych dzieci?". Jak widzi się rozwój nie tylko taneczny, ale i emocjonalny, szczególnie u tych najmniejszych dzieciaczków, to zawsze motywuje. Teraz jesteśmy w takim okresie, że te osoby, które zaczynały u nas, mając 9-10 lat, wyjeżdżają na studia już jako dojrzałe osoby. To ogromna satysfakcja widzieć je rozwijające się już poza Złotoryją. Ponadto wszystkie te gromkie brawa dla uczestników, pełne zachwytów pozytywne komentarze rodziców, dziadków, utwierdzają nas tylko w tym, że nasza praca to nie tylko zajęcia taneczne, ale swoista terapia dla całych rodzin. Przeżywają one razem z nami i tancerzami ich sukcesy, ale też i porażki, bo oczywiście takie się zdarzają, a które też są nauką."

Dalej pytam Olę, jak to się dzieje, że tak nad wszystkim panuje?

„Najpierw była to tylko (lub aż!) odwaga do podejmowania nowych działań. Doświadczenie przychodzi z czasem. Po analizie różnych popełnionych na przestrzeni lat błędów wiem trochę więcej. Jednak myślę, że to taka praca, która zawsze może czymś zaskoczyć. Z każdym kolejnym projektem to moje doświadczenie budowane jest nadal. Dużą pomocą i wsparciem był od początku mój brat Grzegorz oraz nasza wiceprezes Marysia Rogaczewska. To oni przekazali mi dużo potrzebnej wiedzy, którą mogłam wykorzystać.

Fundacja „TROOD" powstała właśnie dzięki przyjaźni pomiędzy Grzegorzem Rosiem i Marią Rogaczewską. Lubili rozmawiać o talentach i o ich rozwijaniu. Jaka motywacja kryje się za sukcesem osiąganym przez ludzi w poszczególnych dziedzinach oraz jaki jest głębszy sens wysiłku wkładanego w rozwój i podążanie za sukcesem. Przyjaciele dyskutowali również o tym, jak Złotoryja, z której wywodzi się wielu wybitnych sportowców i artystów, mogłaby najlepiej wspierać nowe pokolenia w ich rozwoju. Początkowo powstał pomysł założenia przedszkola o profilu sportowo-artystycznym. Jednak ze względu na miejsce zamieszkania (Grzegorz w Las Vegas, Pani Marysia w Warszawie), projekt ten wydawał się być mało realny. Pomimo tego, że przedszkole nie powstało, chęć działania na rzecz rozwoju złotoryjskich dzieci pozostała i doprowadziła do założenia Fundacji Rozwoju Człowieka "TROOD", która została zarejestrowana 7 stycznia 2011.

Bardzo chcielibyśmy w Złotoryi stworzyć nasze własne miejsce i sale do treningów. Miejsce sprzyjające integracji społecznej młodzieży, dzieci i takie w którym będą się dobrze i swobodnie czuły. Będą miały poczucie, że jest to także „ich" i mogą działać tam również w ramach swoich własnych pomysłów i inicjatyw czy np. trenować indywidualnie.

Bardzo się cieszę z otrzymania tytułu, bo to znaczy, że to, co robimy, jest widoczne i się podoba, a zawsze miło zostać zauważonym. Nie ukrywam jednak, że jak przeczytałam to info, przeglądając internet, lekko mnie zamurowało i był szok. Ten sukces jest dziełem przede wszystkim dzieci, młodzieży i rodziców, z którymi, i dla których mam możliwość działać. Dziękuję im za to, że tak jak my kochają taniec, chcą trenować i swoim rozwojem motywują nas do działania. Za wsparcie w realizacji projektów Fundacji dziękuję bratu Grzegorzowi Rosiowi, Marysi Rogaczewskiej, Ewie Olszak-Dyk, Michałowi Czyżewskiemu, Piotrkowi Czyżewskiemu i Tomkowi Antonowiczowi. Za pomoc i współpracę przy organizacji regularnych zajęć i eventów dziękuję przedstawicielom Urzędu Miasta Złotoryja, Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji, Szkoły Podstawowej nr 1, Hali Sportowej „Tęcza" oraz wszystkim sponsorom, firmom i osobom prywatnym, które wierzą w to, co robimy i pomagają nam działać."

Szczególnie dziękuję moim rodzicom, którzy od samego początku wspierają wszystkie moje działania, a tata Jerzy jest awaryjnym zapleczem technicznym każdego wydarzenia.

Wszyscy wiemy, że tylko współpracując można tworzyć wielkie dzieła, ale współpraca, w którą wkłada się własne serce, daje efekty wyjątkowe i niespotykane gdzie indziej.
W tym przypadku dwa serca: Oli Roś i Michała Czyżewskiego połączyły się w jedno. Aktualnie Ola jest mamą na urlopie macierzyńskim.
Na koniec cytat z filozofii wrocławskiej szkoły tańca: „Stojąca za SDA idea opiera się na wierze, iż taniec i związana z nim kreatywność powinna mieć możliwość swobodnej ekspresji, w miejscu stwarzającym do tego jak najlepsze warunki oraz w atmosferze wzajemnego szacunku i akceptacji odrębności każdego z nas. Wierzymy, że w tańcu nie ma dobrego bądź złego myślenia – jest jedynie inne myślenie. Wierzymy równocześnie, że powinno za nim stać doświadczenie, wiedza, erudycja, praca, pokora, świadomość, czas i szczerość.

Jarosław Jańta

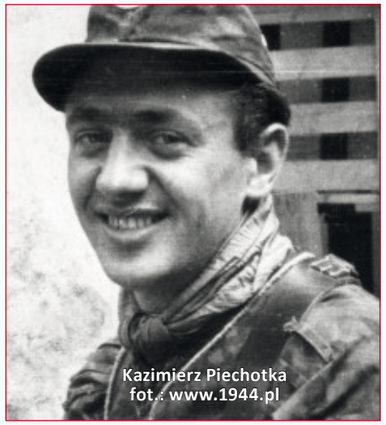
Kazimierz Piechotka
fot.: www.1944.pl

Maria Piechotka (z domu Hubner)
fot.: www.1944.pl

Piechotkowy majstersztyk

Złotoryja w latach 50. miała szczęście do wielkich nazwisk. Niedawno pisaliśmy o Stefanie Arczyńskim, dokumentaliście powojennego Wrocławia i Dolnego Śląska, który w skromnej kolorystyce pełnej czerni, odcieni szarości i bieli oddawał piękno przyrody, zabytków i nowej architektury miast. Minimalizm formy wynikał zapewne z łagodnego usposobienia i pracowitości artysty, który bez nachalnego eksponowania życia prywatnego konsekwentnie budował swój autorytet w świecie fotografii.

Równie wielkimi osobowościami, które miały w swoim życiorysie krótki złotoryjski epizod, byli **Maria i Kazimierz Piechotkowie**. Wykonując zlecenia Ministerstwa Odbudowy i Ministerstwa Kultury (państwo miało monopol na zlecanie projektów architektonicznych) przygotowywali plany urbanistyczne małych miasteczek, projekty budynków mieszkalnych oraz obiektów użyteczności publicznej. W sumie Piechotkowie zaprojektowali 6 domów kultury, w tym złotoryjski nazwany wówczas Powiatowym Domem Kultury. Złotoryjski PEDEK był pierwszym budowanym domem kultury w paśmie Ziem Odzyskanych, choć pojawiają się zdania, że nawet pierwszym w Polsce Ludowej.

Piechotkowie u progu swojej kariery zawodowej, zaprojektowali dla Złotoryi prawdziwe centrum kultury! Przestronne, z bardzo dużą ilością pomieszczeń, salą kinową/widowiskową, siedmioma wejściami, zakamarkami i schowkami, o których większość złotoryjan nawet nie wie.

Wewnętrzne labirynty ciągnące się na wysokości dwóch kondygnacji, piwnic i strychu, połączone funkcjonalnym układem korytarzy ukrytych za licznymi drzwiami. Z zewnątrz bryła budynku nie przytłacza, a pobliski plac z gospodarzem – Władysławem Reymontem – w otoczeniu zieleni, skrzykuje kolejne pokolenie młodych mieszkańców na miejskie eskapady. Siedziba domu kultury, którego budowę zakończono w 1957 r., stała się wizytówką miasta, trafiając na pocztówki, do kalendarzy, na strony folderów reklamujących miasto. Schody przed głównym wejściem wykorzystywane są jako podium do dekoracji zwycięzców biegów, wyścigów kolarskich, inauguracji lub zakończenia pochodów i spotkań młodzieży. A przed budynkiem wielokrotnie odbywały się pokazy mody, dni miasta, wakacyjne potańcówki, występy zespołów tanecznych, imprezy z okazji Dnia Dziecka, jarmarki świąteczne i giełdy minerałów.

Kolejnymi projektami Piechotkowie zapisali się w historii architektury polskiej i samej stolicy. W 1951 r. otrzymali zlecenie na kompleksowe opracowanie projektu osiedla Bielany I-III w Warszawie. Byli zwolennikami budowania z prefabrykatów, które pozwalały budować szybciej i wydajniej niż stawiane konstrukcje z cegieł i pustaków. Gdy ruszyły „fabryki domów", Piechotkowie wymogli na władzy zainteresowanie nowym typem technologii tworzącej „system otwarty z elementów wielkopłytowych" (W-70). Polegał on na tym, że zaprojektowane elementy stropów, ścian, biegów schodowych i płyt dachowych posiadały łączenia, które pozwalały na tworzenie różnych brył budynków. Okna osadzało się w prefabrykowanych ramach z betonu; ściany zewnętrzne murowano białą cegłą silikatową. W ten sposób budynek nie wymagał tynkowania, do tego posiadał płytkie loggie. Przez lata Piechotkowie modernizowali system, a nawet dostosowali dla Algierii (gdzie pod koniec lat 70. pracowało wielu polskich architektów i inżynierów). W-70 uchroniła Polskę przed „leningradami" - topornym budownictwem charakterystycznym dla ZSRR.

Bielańskie osiedle jest dzisiaj nazywane Piechotkowem i ma swoją stronę na facebooku. Mieszkańcy włączają się w prace na rzecz osiedla, integrują na nietypowych placach zabaw (także zaprojektowanych przez Piechotków), licznie spotykają się w dniu urodzin Marii Piechotkowej, która do dzisiaj (już 104-latka) mieszka w jednym z bielańskich bloków.

Warszawscy architekci należeli do pokolenia, które zaliczyło tyle zakrętów życiowych, że ich wojenne i późniejsze losy dostarczyłyby materiału na niejeden film. Zawodowe szlify rozpoczęli w okresie międzywojennym. Połączyły ich nie tylko studia i praca, ale także działalność konspiracyjna podczas II wojny światowej, zwłaszcza w trakcie Powstania Warszawskiego. Maria („Marianna") służyła jako łączniczka w Batalionie „Pięść" na Powiślu i Śródmieściu. Kazimierz, ps. „Jacek", był w Zgrupowaniu „Radosław", w Batalionie „Pięść", plutonie „Agatona" (Stanisław Jankowski, także architekt), który zajmował się fałszowaniem dokumentów na potrzeby działalności konspiracyjnej. Służył w ochronie Bora-Komorowskiego i przeprowadzał cywilów kanałami tam i z powrotem. Po Powstaniu oboje trafili do obozu na terenie Niemiec; po wyzwoleniu wrócili do Warszawy. Dla upamiętnienia działalności konspiracyjnej budowniczych osiedla mieszkańcy ufundowali mural przedstawiający młodych partyzantów na tle flagi biało-czerwonej. Piechotkowie byli jednym ze znanych „powstańczych małżeństw", przez ostatnich kilka lat udzielali się jako wolontariusze podczas uroczystości związanych z rocznicą Powstania Warszawskiego.

Przez długie lata architekci łączyli pracę zawodową z pasją – badaniem sakralnej architektury żydowskiej na terenie Polski; na ich temat napisali pięć książek. Pierwsza „Bóżnice drewniane" ukazała się już w 1957 r.

Joanna Sosa-Misiak

Wnętrze holu kinowego; wystawa fotografii Jana Brysia; z kroniki ZOKiR

Osiedle Bielany (Piechotkowo) w Warszawie-zaprojektowane przez Marie i Kazimierza Piechotków (www.tubylotustalo.pl)

Powiatowy Dom Kultury,1957 r.(www.dolnyslask.pl)

„Festiwal Jedzenia i Piwa - coś nowego?"

Od dwóch lat w Złotoryi organizuje się we wrześniu festiwal jedzenia, czyli zaprasza się na Rynek foodtrucki. To powiew nowoczesności i świeżego spojrzenia na złotoryjską gastronomię. Foodtrucki robią wielką karierę na całym świecie. Jedzenie, jakie oferują pomimo, że podane szybko, jest bardzo różnorodne i wcale nie odbiega jakością od tego serwowanego w restauracjach. W tym roku wielkie poruszenie wśród moich znajomych wzbudziła nazwa tego wydarzenia: „Festiwal Jedzenia i Piwa" sugerująca, że oprócz ciężarówek z jedzeniem zjadą do nas także browary kraftowe, czyli rzemieślnicze. *„Zaserwujemy Wam wyszukane piwa rzemieślnicze, jak i te koncernowe, podczas warsztatów omówimy i wytłumaczymy różnicę pomiędzy tymi browarami"* – zachęcali organizatorzy. Sam nie należę do tych, co piwo „za kołnierz wylewają" i umiem odróżnić dobre IPA od słabego bocka, więc mając do wyboru co najmniej trzy imprezy organizowane w ten wrześniowy weekend, udałem się na Rynek. W poszukiwaniu co wyszukańszych gatunków piw przebiegłem całe 100 metrów, na jakich rozłożył się „festiwal". Zaczynał się na wysokości piekarni Grzegorza Barana, a kończył na zamku dmuchanym. Jeżeli ktoś był głodny albo chciał coś skosztować ze zwykłego obżarstwa, to wybór był następujący. Na przystawkę „oscypki" (chociaż ich nazwa w ofercie się nie pojawiała) Tradycyjny, Bacowski, Korbacz, Mały i Miły. Wędzone lub wędzone i grilowane z dodatkiem żurawiny lub bez. W „Smakach Ulicy" wołowina sezonowana z różnymi smakami. Można ją było zjeść razem z agrestem, albo gruszką w truflowej oliwie z dodatkiem camemberta i blue cheese'a. W błękitnym (lazurowym) wozie czekały na chętnych greckie souvlaki wege i nie, smażone kalmary i panierowane małże. Gdy po latach poszukiwań ktoś wreszcie odnalazł „Punkt G", niespodziewanie znalazł tam wołowinę 100% w standardowym burgerze z frytkami belgijskimi. „Truck Gastro Faza" kusił holenderskimi kapsalonami (*kapsalon – w języku niderlandzkim oznacza salon fryzjerski. Danie zostało wymyślone w 2003 roku przez fryzjera z Rotterdamu, który we współpracy z restauracją serwującą szoarmę, połączył wszystkie swoje ulubione składniki w jedną potrawę. Od tego czasu to danie podbiło kulinarnie Holandię i Belgię*). Tam spotkałem najwięcej ludzi w porze obiadowej. Być może dlatego, że reklamowe obrazki wyglądały jak prawdziwe dania, a nie cienkie kolorowe warstwy pomiędzy dwiema grubymi bułami. Teraz desery. Tłuszcz z Grecji lub Holandii najlepiej trawi się zapity Slushy - mrożonym napojem z soku z maliny, ananasa lub limonki. Kusiły także „Złote Paluchy Churros", ale największe wrażenie robiły „Owoce w Czekoladzie" banany, gruszki, śliwki, morele i pianki (?). Jedzenie tego wszystkiego zajmuje tyle czasu, że normalny człowiek by zgłodniał. Jest na to lekarstwo w foodtruck'u „Szama u Adama" – zapiekanki robione na świeżo prosto z pieca lub wysoka na pół metra zakręcona frytka *„której nie oprze się żadna kobitka"*.

Ale mi mina rzedła coraz bardziej, bo nigdzie nie dostrzegałem żadnych browarów ani warsztatów. Na szczęście w tłumie znalazłem znajomych trzymających w ręku plastikowe kufle, w których pieniło się jeszcze trochę żółtego i zielonego płynu. *„Najlepsze jest to zielone"* powiedział Znajomy i dopiero on palcem wskazał mi miejsce, gdzie je kupił. Był to wciśnięty pomiędzy zokirowską scenę a stoliki z parasolami, niepozorny prostokątny namiot z dumną nazwą „Browar Zamkowy Racibórz". Tu drgnęła moja opolska dusza i łezka się w oku zakręciła, ale nie muszę dodawać, że wieczorem do tego jedynego stanowiska nie można się było dostać. Do domu wróciłem o tak zwanym „suchym pysku".

Jeżeli chodzi o sytuację epidemiologiczną, to całe sto metrów Rynku uznane zostało przez złotoryjan za jedną wielką restaurację i pomimo że niektórzy próbowali jeszcze zachować dystans stojąc w kolejce, maseczek na twarzach widziało się niewiele. A tych założonych prawidłowo - jeszcze mniej. Głównie nosiła je obsługa foodtruck'ów. Ale, jak tłumaczyła mi jedna pani z obsługi, *„to przed dymem z rusztów"*. Nosili je także seniorzy, a to przecież ich przede wszystkim mamy chronić przed wirusem.

Jarek Jańta

Wirusowa historia

Wirus Covid-19 straszy. Straszy i denerwuje. Złotoryjanie o zmniejszonej odporności boją się niespodziewanych wizyt, zbytniej bliskości przechodnia - zwłaszcza rozgadanego i bez maseczki. Zarówno mieszkańcy o obniżonej odporności, jak i seniorzy z niepokojem uczestniczą w sklepowym rozhasaniu niektórych klientów. Ignoranci za nic mają cudze lęki. Gotowi są boksować się z wirusem, by pokazać swoją siłę, odwagę, odporność. Rozpychają się tężyzną, rozpryskują ślinotok samochwalczego wywodu i sieją, sieją aż zarażą, bo ten wirus to nie grypowy - masz i nie wiesz! I nie zarazisz wybranego, a możesz trafić na swojego.

Bezradni ściskają recepty na szczepionkę, jak przepustkę do zdrowia i drepczą od apteki do apteki na zwiadowczy dyżur, czy „rzucili" (po głowie kołacze się jakieś skojarzenie z przeszłości). Dobrze, że w domu jest ciepło, w sklepach nie brakuje produktów i zawsze znajdzie się życzliwa dusza z doraźną serdeczną pomocą. W telewizji oprócz przygnębiających informacji można obejrzeć jakieś powtórki weselszych programów, działa telefon i na końcu łącza ktoś miły jest gotów porozmawiać. Nie jest źle.

Ale niektórzy ludzie są jacyś nerwowi. Nie wytrzymują ograniczeń, zakazów i nakazów. I tak jak parkują gdzie chcą, tak maseczkę noszą albo i nie, krzyczą podczas ciszy nocnej i dewastują czyjeś mienie. Wielką frajdą musi być wykopywanie lusterek samochodowych, rysowanie, wyłamywanie wycieraczek i łamanie ławeczek. I taki wirus pełznie przez miasto, uciska, napiera i wnika. Niektórym do głów. Coś się ludziom przewartościowało, przenicowało. Gdzieś uciekła prawda, schowała się rozwaga, przepędzono przyzwoitość. Warto obudzić się ze złego snu i znów zapragnąć życia godnego i z honorem.

Danuta Sosa

Międzynarodowa wymiana młodzieży, Złotoryja 2015

10 000 kroków

Złotoryjanie na słodko

Pierwsza nazwa brzmiała: Stowarzyszenie Chorych na Cukrzycę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Nazwę zmieniono na III Krajowym Zebraniu Delegatów Stowarzyszeń (16/17.11.1990 r. w Bydgoszczy). Prawdopodobnie złotoryjskie stowarzyszenie zapoczątkowało swoją działalność jesienią 1985 roku. Niestety, z różnych przyczyn nasze stowarzyszenie nie dysponuje pełnymi materiałami i dokumentacją archiwalną naszego koła.

Polskie Stowarzyszenie Diabetyków w Złotoryi ma już 35 lat, co jest niewątpliwie bardzo długim okresem w przestrzeni czasowej, podczas której odbyło się wiele ważnych działań i dokonań wpływających na wartość naszego koła w życiu społecznym miasta i mieszkańców. Dopiero w 2014 r., po zmianie zarządu koła, nastąpiło regularne spisywanie oraz archiwizowanie dokumentacji, fotografii, protokołów, sprawozdań. Wcześniejsze siedziby naszego koła znajdowały się w budynku PGKiM przy ul. Szkolnej oraz w baraku przy ul. Krzywoustego, który uległ spaleniu (wtedy prawdopodobnie spaliła się dokumentacja). Dzisiaj koło mieści się przy pl. Lotników Polskich 3a/1 – dzięki własnym funduszom i zaangażowaniu członków lokal przeszedł grutowny remont.

Nasze Stowarzyszenie dotykały różne przemiany, które miały miejsce w kraju, w gospodarce rynkowej, ale przede wszystkim w opiece diabetologicznej w Polsce w ciągu tych kilkudziesięciu lat. Sprostało tym wszystkim zmianom, a to z kolei motywuje na przyszłość. Wiele rodzin objętych jest na co dzień opieką diabetologiczną. Osoby chore na cukrzycę i ich rodziny edukowane są diabetologicznie. Nie są same w swojej chorobie, mają wsparcie w stowarzyszeniu, rozumianym także jako grupa towarzyska czy „druga rodzina".

Sytuacja Polskich diabetyków w latach osiemdziesiątych nie była łatwa, brakowało lekarzy diabetologów, poradni diabetologicznych, podstawowych środków medycznych, dobrych insulin, glukometr był towarem deficytowym, a wręcz można powiedzieć, że nieosiągalnym dla przeciętnego chorego, wręcz ekskluzywnym wyrobem medycznym, na który nie wszystkich było stać.

Jeśli moglibyśmy porównać dzisiejszą sytuację diabetyka do tej sprzed wielu lat, to możemy dostrzec, że dokonała się istna rewolucja. Chociaż nie jest to jeszcze to, czego by chcieli diabetycy względem poprawy dostępności do nowoczesnych terapii, refundacji sprzętu medycznego czy leków. Ale też jest to przemiana, która wyzwala w nas siłę do stawiania coraz to wyższych celów dla dobra diabetyków.

Życie z cukrzycą nie jest łatwe. Codziennie musisz pamiętać o tym, by szczególnie dbać o siebie. Cukrzyca stała się już epidemią XXI wieku. W związku z powyższym narodziła się konieczność zawiązania stowarzyszenia na potrzeby ludzi chorych na cukrzycę na terenie powiatu złotoryjskiego. Celem naszym jest przybliżenie osobom chorym na cukrzycę większego dostępu do systematycznej edukacji prowadzonej przez lekarzy, specjalistów, personel medyczny. Za każdym takim działaniem, wydarzeniem stoi grupa osób lub konkretny człowiek. To właśnie z tych wszystkich osób narodziła się idea pomocy ludziom chorym i poszkodowanym przez chorobę, jaką jest cukrzyca. To ludziom, którzy przyczynili się do rozwoju naszego stowarzyszenia i wciąż je tworzą i udoskonalają swoją ciężką pracą społeczną przez wiele lat, którzy tworzyli i tworzą naszą społeczność i jej historię - należy się hołd.

Poniższe kalendarium odzwierciedla naszą działalność:

14.11.2013 r. odbyły się pierwsze obchody Światowego Dnia Walki z Cukrzycą w Złotoryi.
25.03.2014 r. powołane zostało samodzielne Młodzieżowe Koło Diabetyków w Złotoryi.
10.09.2014 nastąpiło połączenie koła diabetyków dla dorosłych z młodzieżowym kołem, co przyniosło bardzo dobre efekty oraz integrację społeczności diabetyków.
28.09.2016 utworzono Oddział Rejonowy PSD w Złotoryi, powstały jednostki terenowe w: Złotoryi, Zagrodnie, Świerzawie, Wojcieszowie (w 2018 r. koło odłączyło się), następnie w 2017 r. do naszego oddziału dołączyły nowe koła w Nowej Rudzie i w Legnicy.

Oddział Rejonowy na koniec 2019 r. liczył ponad 465 członków, z czego 218 z samej Złotoryi. Przy oddziale działa również Komisja Rewizyjna oraz Sąd Koleżeński zgodnie ze Statutem PSD. Nasz oddział organizuje wiele wydarzeń, konferencji, spotkań edukacyjnych kierowanych do osób dorosłych i młodzieży. Nawiązaliśmy współpracę z wieloma lekarzami wysokiej specjalizacji, pielęgniarkami specjalizującymi się w diabetologii i nie tylko, firmami medycznymi. Chcemy, by nasi członkowie mieli coraz lepszy dostęp do sprzętu medycznego, materiałów oraz edukacji.

Naszym priorytetem było wprowadzenie na stałe do Złotoryi Obchodów Światowego Dnia Walki z Cukrzycą, w którym co roku licznie uczestniczą diabetycy ze Złotoryi i okolic. Obchody, zapoczątkowane w 2013 r., gromadzą co roku ponad 120 osób. W 2013 r. miała miejsce także inauguracja Złotoryjskiej Szkoły Cukrzycy. Uczestniczyliśmy w międzynarodowym projekcie Niebieskie Śniadanie, każdego roku braliśmy udział w Ogólnopolskiej Pielgrzymce Diabetyków do Częstochowy.

Współpraca z firmami i osobami z branży medycznej zapoczątkowała Złotoryjskie Konferencje Diabetologiczne dla cukrzyków, z udziałem pielęgniarek, lekarzy, farmaceutów, którzy występują w roli prelegentów. Pierwsza taka konferencja odbyła się w 2015 r. i od tego momentu przyciąga osoby zainteresowane wykładami i nowościami z dziedziny medycyny. Spotkania zwykle trwają kilka godzin, mimo to słuchacze licznie i aktywnie w nich uczestniczą. W 2014 r. młodzież z naszego koła została dostrzeżona i wyróżniona, co przyczyniło się do zaproszenia jej przez Federazione Diabete Giovanile na Międzynarodową wymianę młodzieży z cukrzycą na Sardynię do Włoch. Z zaproszenia mogło skorzystać ograniczona liczba osób, bowiem obowiązywało kryterium wiekowe - powyżej 15. roku życia. Złotoryję reprezentowały cztery osoby wraz z opiekunką medyczną Janiną Kałużą oraz nauczycielką języka angielskiego Malwiną Durachtą. Współpraca zaowocowała sukcesem, co przyniosło efekty i już w kolejnym roku grupa młodzieży z Włoch przyleciała do Złotoryi, by wymieniać się poglądami dotyczącymi systemu zdrowotnego naszego kraju. W 2015 r. Młodzież z koła założyła Teatr Złoty Motyl - sama pisała i reżyserowała spektakle, odnoszące się do tych dziedzin zdrowia, które mają wpływ na cukrzycę i związane z nią zaburzenia odżywiania.
18 czerwca 2016 r. po raz pierwszy zorganizowaliśmy Ogólnopolskie Płukanie Złota Diabetyków w Złotoryi, impreza skupia coraz więcej osób z całej Polski, na ostatnim płukaniu złota w 2019 r. gościliśmy ponad 125 osób. Ponadto wielokrotnie organizowaliśmy spotkania edukacyjne w placówkach oświatowych; od kilku lat organizujemy konkurs dla uczniów „Żyję i odżywiam się zdrowo".

Chętnie włączamy się w inicjatywy innych i tu możemy pochwalić się dwukrotnym udziałem reprezentantów naszego złotoryjskiego koła (jedyni z Polski) mogli w międzynarodowym projekcie International Diabetes Federation Europe Youth Leadership Camp 2018 w Czechach oraz International Diabetes Federation Europe Youth Leadership Camp 2017 w Rumunii. Uczestniczyliśmy także w wielu ogólnopolskich kampaniach jak:

Diabe@Dance – profilaktyczny taniec pod kolumną Zygmunta w Warszawie w ramach Apelu do Ministra Zdrowia, aby cukrzyca została zauważona.
Marsz 10 000 kroków dalej od cukrzycy.
Dłuższe życie z cukrzycą.
Razem ścigamy się z cukrzycą.
Ogólnopolskie Targi Diabetica Expo w Toruniu.
Warsztaty liderów PSD w Warszawie.
Biegu „Policz się z cukrzycą".
Złotoryjski Pokaz Mody Diabetyków.
To tylko niektóre z wielu z licznych wydarzeń, których nie jesteśmy w stanie wszystkich wymienić.

Ale żeby nie było, że diabetyk tylko się edukuje, to także organizujemy spotkania integracyjne, jak: warsztaty zdrowego odżywiania Akademia Diabetyka, kulinarne, rękodzieła, komputerowe, rajdy, wycieczki, tańce, bezpłatne spotkania z prawnikiem czy bezpłatne rozliczenie podatku rocznego - wszystkie zależą od pomysłów i potrzeb naszych członków.

Możemy nieskromnie pochwalić się, że dzięki aktywnej działalności naszego stowarzyszenia mieszkańcy Złotoryi i okolic są dobrze wyedukowani w kierunku cukrzycy, co zauważają nawet lekarze specjaliści, podczas rutynowych kontroli lekarskich. W bardzo dużej mierze, diabetycy z naszego koła dzięki edukacji, uczestnictwu w konferencjach organizowanych przez nasze koło unikają powikłań cukrzycowych, dbają o swoje zdrowie, regularną samokontrolę, a przede wszystkim o wizyty w poradniach diabetologicznych.

Mamy nadzieję, że te minione 35 lat to nie jest koniec naszej przygody, ale dopiero początek. Bo w Jedności siła...

W 2020 roku miały odbyć się po raz pierwszy Ogólnokrajowe Światowe Dni z Cukrzycą w Złotoryi, połączone z Jubileuszem 35-lecia naszego koła. Niestety, ze względu na epidemię, obchody wraz z jubileuszem zostały przeniesione na 20 listopada przyszłego roku. Obchody takie gromadzą co roku ponad 250 uczestników z całej Polski. Już teraz serdecznie wszystkich zapraszamy.

Monika Kaczmarek

DiabeDance

Targi Diabetica Expo Toruń

Mural w nowej odsłonie

Dzięki zaangażowaniu grupy mieszkańców Nowego Kościoła zakończyły się trwające dwa lata działania mające na celu odtworzenie muralu. Teraz mural zachwyca na nowo i stało się tak za sprawą wrocławskiego artysty - SKONTA.

Mural powstał w 2015 r. w ramach projektu „Spotkajmy się na górze" realizowanego dzięki inicjatywie pn. „Działaj Lokalnie". Mieszkańcy naszej wsi wytyczyli szlak na Czerwony Kamień, wykonali, a następnie zamontowali ławki w dwóch miejscach na trasie oznakowanej kolorem niebieskim. Ze szczytu Czerwonki – dzięki ciężkiej pracy grupy społeczników – dziś można podziwiać Ostrzycę, a przy dobrej widoczności – Karkonosze. Trzeba też było włożyć sporo wysiłku, by w miejscu, gdzie kiedyś stała remiza strażacka, powstał mural.

Mural stał się niejako wizytówką Nowego Kościoła. Niestety z czasem malowidło uległo zniszczeniu, w centralnym miejscu odpadł tynk.

Podczas jednej z imprez z okazji Dnia Kobiet udało się zgromadzić środki finansowe na prace remontowo-budowalne. Można było planować odtworzenie muralu. Jednak betonowa nawierzchnia przed murem uniemożliwiała odprowadzanie wody, więc należało zabezpieczyć ścianę przed wilgocią: nie pozwolić, by deszcz zaciekał po ścianie, umożliwić swobodny odpływ wody z miejsca, w którym się gromadzi. To zadanie zrealizowano w ramach Inicjatywy Lokalnej – współpracy gminy Świerzawa z jej mieszkańcami: wykonano i założono obróbkę blacharską, korytka odprowadzające wodę, wyczyszczono rów.

Miejsce, z którym mieszkańcy utożsamiają się odzyskało atrakcyjność, a przestrzeń stała się ciekawsza; mural promuje nie tylko Nowy Kościół, ale również gminę i region.

Warto wspomnieć, że zainteresowanie pracami przy muralu było bardzo duże. Ludzie zatrzymywali się, by porozmawiać i wyrazić swój zachwyt.

Na koniec słów kilka o autorze naszego muralu. Skont – freelancer i streetartowiec; ożywia szarą przestrzeń miejską stolicy Dolnego Śląska. Jego prace można zobaczyć na Psim Polu i Zakrzowie. Jest autorem muralu na budynku przy ul. Bierutowskiej 8 i 8a (o wymiarach 35x11 metrów) oraz w podziemiach Dworca Wrocław (wymiary graffiti: 4,6x36 metrów). Prace tworzone przez Skonta pokazują świat takim, jaki jest, są wyraziste, energiczne, widać w nich pasję i radość z tworzenia.

Podziękowania należą się aktywnym mieszkańcom Nowego Kościoła: za pracę, za zapał, za poświęcenie wolnego czasu oraz wszystkim tym, którzy w różny sposób przyczynili się do odtworzenia muralu.

A. J.

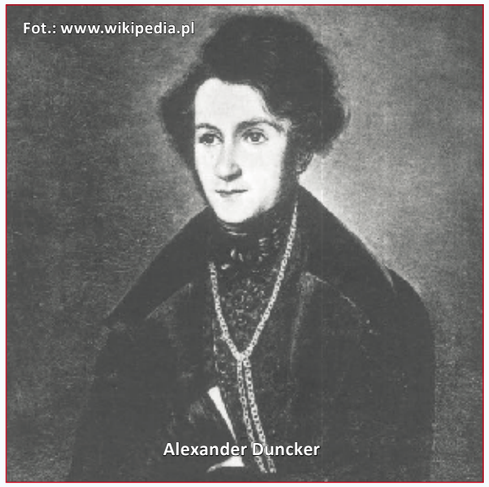
Fot.: www.wikipedia.pl

Alexander Duncker

F. Pazelt, Pałac w Lubiechowej

Ziemia złotoryjska na litografiach

Opisując pałace znajdujące się na ziemi złotoryjskiej, staramy się przedstawiać obiekty w możliwie dostępnym materiale ikonograficznym. Niemal każdy artykuł ilustrujemy rycinami, które przedstawiają najstarszy widok opisywanej rezydencji, przed późniejszymi rozbudowami, odbudowami, które z kolei uwiecznili późniejsi fotografowie. Wydawcą tych barwnych litografii, które znają wszyscy miłośnicy lokalnej historii, było wydawnictwo **Verlag** należące do **Alexandra Friedricha Wilhelma Dunckera.** Wydawnictwo to, założone w Dreźnie w 1837 r., przede wszystkim wydawało współczesną literaturę piękną, (także laureata Nagrody Nobla – Paula Heysego), literaturę dziecięcą oraz opracowania poświęcone sztuce.

Duncker należał do znanych i szanowanych księgarzy, ale szacunek wśród rodaków i sławę po dziś dzień zapewnił mu cykl widoków rezydencji i zamków Królestwa Pruskiego. Wpisywały się one w modę na romantyzm. Dzięki szerokim kontaktom oraz znajomościom z ówczesnymi rysownikami i malarzami Duncker pozyskał sprzymierzeńców dla swego projektu. Zaprosił artystów do współpracy, której efektem była seria litografii, ukazująca się pod długim tytułem ***„Wiejskie dwory, pałace i rezydencje szlachty pruskiej, wraz z rodziną królewską, rezydencjami letnimi, ogrodami przypałacowymi, artystycznie wykonane, z kolorowymi ilustracjami i tekstem w okresie 1857-1883”.*** Na przestrzeni 6 lat ukazało się 18 tomów (tek), w których łącznie znalazło się 960 kolorowych grafik (o wymiarach 20x15 cm), obejmujących obiekty z 12 prowincji (dzielnic) Prus. 371 grafik przedstawia pałace i rezydencje znajduje się w obecnych granicach Polski, a 227 z terenów Górnego i Dolnego Śląska.

Przedsięwzięcie cieszyło się poparciem dworu berlińskiego, co przełożyło się na popularność cyklu i jego sukces finansowy. Na początku pojedyncza grafika kosztowała 1,25 talara, a po przejściu na marki – 4 marki i 25 fenigów.

Autorami grafik byli m.in. Herman Menzel, H. Schmidt, Theodor Albert czy znany malarz śląski, rysownik, ilustrator i nauczyciel rysunku z legnickiej Akademii – Theodor Blätterbauer. Autorem najbardziej znanych złotoryjanom litografii był Ferdinand Pazelt, któremu zawdzięczamy utrwalenie wyglądu pałaców np. w Lubiechowej, Pielgrzymce, Rochowie i Zagrodnie.

Wszyscy artyści włączeni do projektu Dunckera uwiecznili rezydencje w całej ich architektonicznej i krajobrazowej okazałości. W ten sposób udokumentowali różnorodność architektoniczną XIX-wiecznych Prus, które pozbywały się charakteru obronnego i skupiły na wyglądzie budynku i przestrzeni wokół niego. Na zmianę podejścia i potrzeb właścicieli rezydencji wiejskich wpłynęło wiele czynników: spadek intensywności wojen, duch romantyzmu, pojawienie się mody na turystykę „po zdrowie”, które nakładało się na intensywne i wymagające podróżowania życie towarzysko-familijne (bale, polowania) praktykowane w gronie szlachetnie urodzonych. Kolekcja litografii z tek Dunckera ukazuje rezydencje w chwili ich największej świetności i rozkwitu, czasami (jak wynika z opisu) tuż po ich ukończeniu. Wiele z nich odzwierciedlała pruską skłonność do prostoty i zapędy militarystyczne. Najbardziej widoczne w pałacach-zamkach (Nowy Kościół, Karpniki) budowanych w nieco „wojskowym” (imitującym średniowieczne budowle obronne – baszty, wykusze, blanki) stylu neogotyckim uznanym zresztą za styl narodowy. Ponieważ jednak gotyk traktowano jako inspirację a nie gotowy wzór – kanciaste linie zanikały na rzecz strzelistych wieżyczek, licznych detali, gargulców i innych elementów. Romantyzm jako obowiązujący prąd intelektualny rzutował na pozostałe dziedziny życia; w ramach powrotów do przeszłości wypromował dotychczasowe style w wersjach „neo” (neoklasycyzm, neorenesans, neoromanizm, neobarok), a te nadawały rezydencjom naprzemiennie klasyczną lekkość, barokową surowość, gotyckie ostre łuki, smukłość i rozmach.

Romantyczne zamiłowanie do malowniczości, dziwności i tajemnicy spowodowało odwrót od regularnych form w krajobrazie, będącym tłem dla szlacheckich siedzib. W opozycji do francuskich (barokowych) ogrodów, sztucznie komponowanych, powstawały pozbawione prostych linii i geometrycznych kształtów, dziewicze tereny zielone wypromowane jako ogrody angielskie. Bujną roślinność tworzyły rodzime gatunki drzew o rozłożystych koronach, a także modne egzotyczne gatunki (jaśminowce, tulipanowce, miłorzęby), rozmaitość gatunkowa krzewów, mnogość bluszczu i powojników. Ta zielona gęstwina płynnie przechodziła w płaszczyzny starannie wypielęgnowanych trawników – dumę ówczesnych ogrodników. W pobliżu siedzib pojawiały się ruiny, do których prowadziły aleje parkowe, liczne zakątki z kutymi altanami i inną małą architekturą ogrodową. Wszystko to w głębiach zieleni – dzikiej i z pozoru nietkniętej ręką człowieka, ale wkomponowanej w naturalną rzeźbę terenu.

Oprócz okazałych siedzib w otoczeniu łąk i lasów na litografiach pojawiają się elementy związane z kulturą ziemiańską – modnie ubrani spacerowicze, powozy z przybywającymi gośćmi, powiewające chorągwie (znak, że właściciele obecni w domu), powozy z przybywającymi gośćmi. Obok pałaców zabudowania gospodarcze z całym przylegającym do nich sztafażem (charakterystycznym dla scenek rodzajowych). Przed frontowym wejściem zakładano dekoracyjne zielone rondo (okrągłe lub owalne).

Prezentacja pałaców i zamków nie ograniczała się tylko do ilustracji. Na obrzeżach rysunku widniały podpisy – miejsce, autor i wydawca; natomiast na odwrocie każdej karty znajdował się opis budynku (dominium), wykaz właścicieli oraz ich zasługi wniesione w rozwój wsi, zmianę wyglądu budynku i przylegającego do niego parku.

Obecnie licznie zachowane litografie krążą wśród kolekcjonerów, miłośników historii lokalnej, wystawiane są na aukcjach i wciąż znajdują nowych nabywców. Wcale nierzadko w różnych częściach Polski, w rozmaitych wariantach tematycznych, prezentowane są na wystawach.

Dla uzupełnienia wiedzy o pomysłowym wydawcy warto dodać, że Aleksander Duncker był jedynym synem, który kontynuował zawodowe zainteresowania ojca. Jego trzej bracia byli aktywnymi politykami, co przełożyło się na szerokie kontakty księgarza ze sferą rządową. To z kolei zapoczątkowało wieloletnią i regularną korespondencję z królem Fryderykiem Wilhelmem IV Hohenzollernem, a później z cesarzem niemieckim Wilhelmem I. Jeden i drugi chętnie gościli w rezydencjach przedstawionych na litografiach. Do 1939 r. listy wydano w 46 tomach, ostatni ukazał się dopiero w 2003 r.

Aktywność zawodowa Dunckera przeplatała się z żołnierskimi obowiązkami. Jako oficer rezerwy pruskiej armii brał aktywny udział w trzech wojnach – prusko-duńskiej (1864), prusko-austriackiej (1866), francusko-pruskiej (1870). Zmarł w Dreźnie w 1897 r. w wieku 84 lat.

12 lat po śmierci Dunckera (1897 r.) i 26 lat po ukazaniu się ostatniego tomu z jego grafikami, bogatym zbiorem zainspirował się **Robert Weber** – drezdeński architekt i fotograf. Razem ze swoimi współpracownikami, Fiehnem i Foersterem, objechał śląskie rezydencje i utrwalił je na tysiącach zdjęć. W 1909 r. w Dreźnie i we Wrocławiu ukazał się trzytomowy album pt. **„Schlesische Schloesser”**, w którym znalazło się 286 fotografii śląskich pałaców. Weber nie ograniczył się do zdjęć obiektów usytuowanych w otoczeniu parkowej zieleni. Został wpuszczony „na salony” i fotografował majestatyczne wnętrza – okazałe klatki schodowe pełne trofeów myśliwskich, biblioteki, gabinety gospodarzy, sale balowe, pokoje wypełnione dziełami sztuki, pamiątkami rodzinnymi i z podróży. Każdy budynek opatrzony jest opisem – podobnie jak ilustracje z teki Dunckera. Takie wydanie albumu możliwe było dzięki współpracy autorów projektu z właścicielami rezydencji, którzy udostępniali swoje posiadłości, domowe archiwa, a czasami sami przegotowywali informacje o historii obiektów.

Po album Webera sięga wielu autorów współczesnych opracowań poświęconych rezydencjom szlacheckim. Bywa, że zdjęcia te są już jedynym dowodem na istnienie takich pechowców, jak chociażby pałac w Nowym Kościele. Po innych zostały ruiny, które rozpadają się na naszych oczach, przegrywają walkę z wszędobylskimi samosiejkami i obojętnością ludzi; coraz mniej takich, które czekają na bogatego inwestora, który poradzi sobie z ogromem zniszczeń. Na niekorzyść wszystkich oczekujących w kolejce działa fakt, że usytuowane są na wsi. Sielskość krajobrazu wiejskiego i bliskość lasu, która przyciągała XIX-wieczną szlachtę, dla obecnych inwestorów straciła na znaczeniu.

Na szczęście, w ostatnich latach obserwujemy coraz więcej pałacowych powrotów „do żywych”. Z setek obiektów jakie zastaliśmy po wojnie tylko niektóre doczekały się gruntownej odnowy i służą jako hotele, restauracje czy domy weselne, stając się jednocześnie atrakcjami turystycznymi z bogatą ofertą dla poszukiwaczy wrażeń.

Na szczególną uwagę zasługują te, które mamy niemal na wyciągnięcie ręki i które tworzą „Polską Dolinę Loary” czy jeleniogórską „Dolinę Pałaców i Ogrodów”. Niemal z każdym takim pałacem wiąże się jakaś legenda - o gwałtownym temperamencie byłego właściciela, jego złych lub dobrych duchach, nieszczęśliwych paniach domu, kochankach ich mężów, tajemnych przejściach i ukrytych skarbach. Kilka lat temu dla promocji wybranych obiektów powstał „Europejski szlak zamków i pałaców”, w skład którego wszedł Zamek Grodziec.

Porównanie litografii Dunckera z fotografiami Webera pozwala na prześledzenie zmian dokonywanych na przestrzeni wieku w wyglądzie rezydencji, przylegających do nich zabudowań oraz zmian zachodzących w otaczających je założeniach parkowych. Jedne i drugie trafiają na ścianę i stają się stałą ekspozycją łączącą teraźniejszość z przeszłością.

Joanna Sosa-Misiak

Ciepło domowego ogniska

Jesień wbrew utartym opiniom jest bardzo gorącą porą roku. Weźmy chociażby kolorystykę jesiennego krajobrazu. Ciepłe barwy otaczają nas ze wszech stron. W sadzie rumiane jabłka i żółto-bursztynowe gruszki pysznią się swą dorodnością i słodkim smakiem. Na łące, w słoneczny dzień babiego lata miodne zapachy ziół, traw i kwiatów otulają ciepłem i aromatem ciszy. W ogrodzie grona czerwonych pomidorów i żółte jak słoneczka owoce pigwy „rozweselają” jesienny pejzaż. Wężowe ziele wijące się po drewnianych ścianach domu ogrzewa je miedziano-rudą barwą liści. Czerwień malinowego wina zamkniętego w butelce rozgrzewa nas podczas spotkania z przyjacielem w jesienny wieczór. Z pewnością te „gorące” barwy jesieni warto przenieść do domowych pieleszy, bo jak pisał poeta:

I wszystko to się składa w całość,
w jakąś harmonię doskonałą -
bo przecież grunt gdy komin dymi,
i kiedy chleb jest i optymizm.

Każdy z nas ciepło domowego ogniska kreuje na swój sposób. Jedni czynią to z wielką starannością i duszą romantyka, budując przez lata harmonijny ład między domownikami, a inni, ci stąpający twardo po ziemi, twierdzą, że dom to przede wszystkim funkcjonalność i wygoda, swoisty azyl, chroniący od zgiełku codziennych obowiązków.

Janina – wiekowa seniorka - żyje samotnie w drewnianym domku na peryferiach miejskiej aglomeracji. Dzieci rozpierzchły się po świecie, a wnuki żyją swoimi sprawami. Wpadają do rodzinnego domu jak po przysłowiowy ogień, zapytają co słychać i nagle wyfruwają jak ćmy szukające po omacku swego miejsca w „rozpędzonym” świecie. Janina tygodniami spędza czas w towarzystwie ogrodowych grządek, błękitu nieba i długich wieczorów, okraszonych cichą łzą samotnej matki. Kobieta ma świadomość, że ciepło domowego ogniska, budowanego przez nią latami, płonie coraz słabszym blaskiem, bo dziś takie czasy, że każdy myśli egoistycznie tylko o sobie. Janina lubi, gdy do jej domu zaglądają sąsiedzi: Ania i Witek. Cieszy się, gdy przysiądą z nią w ogrodowej altanie, wypiją herbatę, zjedzą upieczoną przez nią pyszną szarlotkę, pogadają, wesprą w chwilach zwątpienia. Takie spotkania budują w niej na nowo wiarę w odruchy ludzkiej życzliwości, wtedy choć na chwile zapomina o swej samotności.

Zosia i Krzysztof mieszkający na wielkomiejskim osiedlu tworzą wspaniałą rodzinę. Ich trójka dzieci: Antoś, Laura i Zuzia – to największy skarb, jaki otrzymali od Boga. Najważniejsze, że wieczorem wspólnie zasiadają przy stole i obdarzają się swoją obecnością. Najczęściej rozmawiają lub opowiadają, czasem śpiewają, a innym razem milczą. To obcowanie ze sobą tworzy niepowtarzalną więź, która czyni ich ludźmi wrażliwymi i otwartymi na potrzeby swoje i innych. Ich domowe ognisko płonie blaskiem szczęścia i radości. Oni wiedzą, że chcą być ze sobą na dobre i na złe do końca swoich ziemskich dni. Dla nich ciepło domowego ogniska to nie kominek trzaskający ogniem w chłodne jesienne wieczory, ale łączące ich uczucia i troska o siebie nawzajem.

Alicja Majewska w jednej ze swoich piosenek śpiewała:

To nie sztuka wybudować nowy dom,
Sztuka sprawić, by miał w sobie duszę

Ta jakże prosta myśl niezwykle trafnie określa, czym jest ciepło domowego ogniska. Bo przecież dom to nie mury, choćby nawet pałacowe, z najdroższym wyposażeniem, ale jego dusza, która sprawia, że chętnie do niego wracamy, bo wiemy, że zawsze ktoś na nas w nim czeka. Oby ta „domowa dusza” zawsze płonęła ciepłem takim jak barwy złotej polskiej jesieni – słonecznej i radosnej.

Markosia

F. Pazelt, Pałac w Pielgrzymce

F. Pazelt, Pałac w Zagrodnie

F. Pazelt, Pałac w Podgórkach

Litografia (lith - kamień) technika graficzna powstała w 1798 r., zaliczana do druku płaskiego. Rysunek do powielania przygotowywany jest na kamieniu litograficznym (wapiennym), malowany tłustą kredką lub tuszem i utrwalany roztworem kwasu azotowego naprzemiennie z gumą arabską. Zabieg ten wymaga częstego nawilżania kamienia (wilgoć blokuje wsiąkanie barwnika), następnie nanosi się farbę, którą wchłaniają tylko zarysowane fragmenty. Na tak przygotowany kamień nakłada się papier i przy użyciu prasy lub wałka wykonuje odbitki.

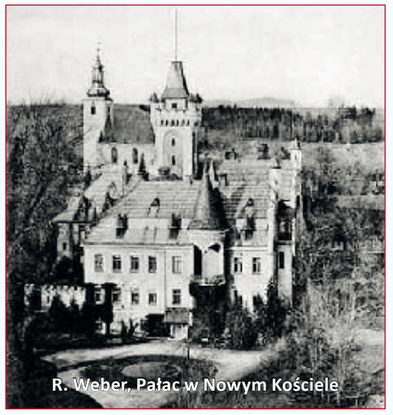
R. Weber, Pałac w Nowym Kościele

Rowerem przez Krainę Wulkanów

Ze Szlakiem Wygasłych Wulkanów miałam już rowerowo do czynienia dwa razy. Nigdy jednak nie chwaliłam się relacjami z podjętych prób, bo obie zakończyły się podkuleniem ogona i powrotem tego samego dnia do domu z poczuciem rozczarowania. Co było przyczyną? Brak oznakowania w istotnych miejscach, zaniedbanie i zarośnięcie szlaku, a miejscami jego przebieg przez tereny ogrodzone. Wymyśliłam sobie, że koniecznie chcę przejechać całość w oryginale, więc strzeliłam na szlak focha! Stan rzeczywisty Wygasłych Wulkanów mnie po prostu przerósł. Odebrał mi przyjemność z jazdy na rowerze, ba! nawet gdybym zdecydowała się na wersję pieszą, to wrażenia wciąż miałabym takie same. Machnęłam więc ręką i uznałam, że nie pojawię się na szlaku po raz trzeci, dopóki nie zostaną wprowadzone jakieś zmiany/porządki. To najbliższy szlak długodystansowy od mojego miejsca zamieszkania. Cały czas jednak swędziało mnie, by zgarnąć go do swojego górskiego CV. Cierpliwie czekałam, aż nadejdą lepsze czasy, a i mnie znowu natchnie na rowerową przygodę za domem.

Pewnego dnia do domu wrócił mój mąż Damian z nowymi broszurkami promującymi nasz region. Otrzymał je od jakiegoś znajomego. Oczywiście nie mogło w nich zabraknąć informacji o fantastycznej propozycji dla piechurów długodystansowych. Od razu skomentowałam, że wciąż oddział PTTK „opiekujący się" Krainą Wygasłych Wulkanów promuje ten szlak, nie wiedząc w jakim jest stanie. Okazało się jednak, że w końcu nastąpiły zmiany! W terenie domalowano nowe znaki kierujące w niektórych miejscach na inne ścieżki, a podobno te zarośnięte zostały uporządkowane.

W końcu nadszedł dobry moment na trzecią próbę. Mój dobry kolega Artur od pewnego czasu zaczął używać roweru do eksploracji ścieżek i szlaków, które są mniej przychylne do pieszych wędrówek, **ze względu na długie odcinki z nawierzchnią asfaltowo-szutrową, a taki właśnie jest Szlak Wygasłych Wulkanów. Momentami dla piechurów mocno demotywujący, natomiast dla rowerzystów idealny na stawianie pierwszych kroków w bikepackingu!** Zgrały nam się 3 dni wolnego, a prognozy pogody były idealne! To musiało się udać!

poniedziałek, 15 lipca 2020

Spotykam się po południu z Arturem przy muszli koncertowej w legnickim parku. To właśnie Legnica jest najlepszym miejscem strategicznym dla Szlaku Wygasłych Wulkanów, ze względu na dobry dojazd koleją, która umożliwia zabranie ze sobą roweru. Start szlaku znajduje się jednak w oddalonym o ok 12 km/45 min jazdy rowerem Legnickim Polu. Dojazd jest typowo asfaltowy. Akurat natrafiamy na porę powrotów do domu z pracy, więc ruch samochodowy jest wzmożony. Zaliczamy pierwszy delikatny podjazd tuż przed wioską, a zaraz po nim wyłaniają się nam dwie wieże barokowego kościoła z dawnym klasztorem benedyktynów. Przy muzeum Bitwy pod Legnicą, obok wierzby płaczącej odnajdujemy interesującą nas kropkę.

Po pamiątkowym foto ruszamy za żółtymi znakami. Początkowy przebieg szlaku znam doskonale z moich poprzednich prób. Wiedziałam, że niczym nie zaskoczy. Jest nudny i płaski aż do Jawora. Szlak prowadzi asfaltem po wioskach i tak naprawdę, to właśnie w Jaworze powinna być kropka początkowa.

W ratuszowej restauracji na jaworskim rynku robimy przerwę na obiado-kolację oraz uzupełnienie zapasów w sklepie. Następnie z pełnymi brzuchami ruszamy w kierunku Myśliborza, który jest główną bazą wypadową na szlaki Parku Krajobrazowego „Chełmy".
O zachodzie słońca zbliżamy się w rejon Pogórza Kaczawskiego, a dokładniej rezerwatu „Wąwóz Myśliborski". Przejeżdżamy go już po ciemku, bo nie chce nam się wyciągać czołówek z plecaków. Mamy po drodze kilka przepraw przez powalone drzewa oraz błoto. Zapachniało przygodą, a przecież to miejsce znam od dziecka! Jednak późny wieczór, hukające w lesie sowy, zapowiedź spędzenia nocy w terenie – zrobiły świetną otoczkę! Poza granicami „Wąwozu Myśliborskiego" rozbijamy się na nocleg. Artur rozkłada się na ziemi z materacem, ja natomiast rozwieszam się między drzewami z hamakiem i tarpem.

Zakładam stopery do uszu by odizolować się od leśnych dźwięków. Noc przesypiam z przerwami.
Dystans dnia:46 km (Legnica - Wąwóz Myśliborski)

wtorek, 16 lipca 2020

Spanie w hamaku przydarza mi się rzadko. Ciało i głowa nie są przyzwyczajone do takiej formy. Pomimo jednak dziwacznych snów i cyklicznego budzenia się, rano jestem o dziwo świadoma tego, gdzie jestem i co tutaj robię. Cały szlak mamy rozplanowany na trzy dni, więc nie goni nas czas. Spokojnie ogarniamy śniadanie oraz pakowanie. Gdy oboje potwierdzamy gotowość do jazdy, ruszamy dalej za żółtymi znakami. Szlak prowadzi nas po szutrach, polnych drogach oraz asfaltach.

Już z daleka widać wyrośniętą ponad pola i łąki Czartowską Skałę – powulkaniczne wzniesienie, oferujące fajny widok m.in. na Karkonosze. Wejście na Czartowską Skałę z rowerem nie jest łatwe. To krótki, ale porządny wypyszek! Artur na przykład za wdrapanie się z rowerem zapłacił uszkodzeniem tylnej przerzutki, wyginając ją o wystający kamień. Mój Skajek jest jak czołg. W sumie jeszcze nigdy nie zawiódł mnie na rowerowej przygodzie, a przecież już niejedną ma za sobą! Jednak czasem toporny, ciężki sprzęt jest bardziej niezawodny! Trochę sprowadzając, a później już zjeżdżając w siodełku, zjawiamy się we wsi Pomocne. U Artura odzywa się uszkodzona przerzutka. Łańcuch przeskakuje, nie dając pełnego zakresu przełożeń. Zatrzymujemy się przy sklepie. Na chwilę pojawiają się nad nami „czarne chmury". Czyżby klątwa Szlaku Wygasłych Wulkanów, która się do mnie przykleiła, przeszła także na Artura? Po kilku próbach ręcznego naprostowywania haka przerzutki ilość dostępnych przełożeń na szczęście zwiększa się i jesteśmy w stanie kontynuować jazdę.

Przejeżdżamy przez wieś Gozdno, która jest dobrym punktem startowym dla wijących się w lesie Kaczawskich Singli (jednokierunkowych tras rowerowych). Trzymamy się jednak dalej żółtych znaków, chociaż zaskakująco na krótką chwilę Wygasłe Wulkany prowadzą właśnie po singlu! Kolejnym charakterystycznym punktem na trasie są Organy Wielisławskie, mające tytuł pomnika przyrody nieożywionej. Odsłonięte porfiry (magmowe skały wulkaniczne) wylane i zastygłe są na zboczach góry Wielisławka 375 m n.p.m.
Nadeszła pora na jakąś szamę. Tuż obok Organów Wielisławskich, we wsi Sędziszowa, znajduje się agroturystyka z restauracją „Młyn Wielisław". Zostajemy tam na obiad i dłuższy odpoczynek.

Na dzisiaj mamy zaplanowany jeszcze przejazd pod najwyższym szczytem Pogórza Kaczawskiego – Ostrzycę 501 m n.p.m. Sam żółty szlak nie przebiega przez to wzgórze. Warto jednak się na nie wdrapać, a jest dosłownie rzut beretem! Pod charakterystycznymi skalnymi schodami zostaję z rowerami, gdyż wielokrotnie na Ostrzycy byłam, a Artur na lekko podchodzi z samym aparatem, by zobaczyć panoramę, jaka rozpościera się ze wzgórza. Przy dobrej widoczności nie zabraknie na horyzoncie Karkonoszy!

Artur wraca z Ostrzycy zachwycony widokami, po czym zjeżdżamy na zaproponowane przeze mnie miejsce, gdzie możemy zabiwakować. Wieczorem odwiedza nas support! Damian przywiózł kiełbaski oraz radlerki. Rozpalamy ognisko i przy ogniu wspólnie siedzimy do późnego wieczora.

W nocy odwiedza nas lis, a raczej nie nas, a nasze reklamówki ze śmieciami. Rudemu dajemy do zrozumienia, żeby szukał jedzenia gdzie indziej, a worki podwieszamy na belce konstrukcyjnej wiaty.

środa, 17 lipca 2020

Rano po śniadaniu Damian nas opuszcza i wraca autem do Legnicy, a ja z Arturem ruszam na zdobycie kropki końcowej szlaku. Mapa już wcześniej podpowiedziała nam, że na większe atrakcje związane z dawnym wulkanizmem nie możemy już liczyć. Jedynie wzgórze Grodziec z wybudowanym na nim zamkiem wpisuje się geologicznie w przyświecającą nam od trzech dni tematykę. Ale znów sam szlak nie wspina się pod same bramy zamku, a przebiega dużo poniżej.

Przed wsią Grodziec wpada nam nieplanowana przerwa. Wszystko przez czereśnie rosnące na szlaku! Zajadamy się owocami. Właśnie sobie uzmysławiam, że trzeba zapamiętać tę chwilę, bo nim zdążymy mrugnąć dwa razy oczami, to będziemy żegnać już lato...

Nastawieni byliśmy już na spokojną jazdę aż do Złotoryi, ale Szlak Wygasłych Wulkanów dostarczył nam jeszcze trochę atrakcji. W 2015 r we wsi Wojcieszyn w ramach akcji „Wieś z pomysłem" ustawiono miniaturowe wiatraki oraz 12 tematycznych tablic informacyjnych w ramach dwóch ścieżek turystycznych „Don Kichot i przyjaciele" oraz „Walki i przygody Don Kichota". Przejazd przez wieś nie jest nużący, mimo że w pełni asfaltowy. Jednak największe niezapomniane chwile przeżywamy między Wojcieszynem a Złotoryją. Praktycznie na ostatnich kilometrach! Szlak przeobraził się w uciążliwą przeprawę przez pola, następnie przez zjazd po świeżo wykarczowanej ścieżce z wystającymi, ale schowanymi pod trawą twardymi badylami i gałęziami róży. Podczas zjazdu miałam dwie myśli: pięknie na tych badylach można polecieć przez kierownicę oraz stanie się cud, jeżeli nie przebijemy opony. Na szczęście nikt z nas przez kierownicę nie poleciał. Wyjechaliśmy na szuter. Rowery wydawały się być całe. Nie przejechaliśmy 100 metrów, jak Artur nagle się zatrzymał. A jednak! Kolec od róży wbił się w przednią oponę!

Na Rynku w Złotoryi odnajdujemy drugą kropkę. Szlak Wygasłych Wulkanów w pełni przejechany na rowerach! Po posileniu się bezalkoholowymi radlerami, pozostał nam już tylko asfaltowy przejazd przez wioski do Legnicy, gdzie ja melduję się w domu, a Artur łapie jeszcze pociąg do Wrocławia.
Dystans dnia: 72 km (Zielonki - Legnica)

Szlak Wygasłych Wulkanów to idealna propozycja na rower MTB!
W wersji pieszej może być trochę monotonny i częściowo mało atrakcyjny. Pomimo chwytliwej nazwy, szlak nie tyle prowadzi po wygasłych wulkanach, co raczej po krainie wygasłych wulkanów. Jedyny wygasły wulkan, przez wierzchołek którego przebiega szlak, to Czartowska Skała. Pozostałe mijamy w bezpośredniej bliskości lub oglądamy z mniejszego bądź większego oddalenia.

BLOG: SKADINAGRANI.PL
Blog o górach dużych i małych, dalekich i bliskich, zielonych i białych. Prowadzony nieprzerwanie od 2010 roku. Choć autorka stawia swe kroki od Alp po Kaukaz, wciąż ważnym tematem są macierzyste Sudety, przemierzane coraz częściej na rowerze i nartach.

Justyna Pietrasik

SKADI GRANI
www.skadinagrani.pl

INFORMACJE PODSTAWOWE O SZLAKU WYGASŁYCH WULKANÓW
PRZEBIEG: Legnickie Pole - Złotoryja
DYSTANS: Ok 95 km
OBSZAR: Pogórze Kaczawskie (Dolny Śląsk)
SZLAK: Żółty
SUMA PODEJŚĆ/PODJAZDÓW: 1710 m
SUMA ZEJŚĆ/ZJAZDÓW: 1641 m
CZAS: 27 h w wersji pieszej.
JAKIM SPOSOBEM: Piesza wersja jest dla koneserów, zwłaszcza odcinek Legnickie Pole – Jawor. Szczególnie polecam przejazd rowerem. Na trasie jest mało wypychów.
KIEDY: Zapewne cały rok, ale ja szczególnie polecam pełnię wiosny, kiedy kwitnie rzepak. Pogórze Kaczawskie wygląda wtedy pięknie!

Zdjęcie ślubne Stanisławy i Zenona Sojów, 1947 r.

Pamiętnik młodej nauczycielki (cz. II)

Przygoda

Życie w Nowej Wsi jest czasem bardzo ciekawe. Podczas wizyty w Chojnowie, u państwa Godowskich było oczywiście bardzo przyjemnie. Miałam możliwość zjeść „uczciwe" śniadanie, potem dobry obiad, porozmawialiśmy i po południu wracałam do domu. Pod koniec drogi zaczął dąć silny wiatr i siąpić deszcz, było paskudnie. Ostatni odcinek drogi – z Grodziska do Nowej Wsi był fatalny. Trzeba było co chwilę zeskakiwać z roweru i nieść go dosłownie na plecach, brnąć prawie po kolana w rozmiękłym śniegu i błocie. I nagle, kiedy znalazłam się w małym zagajniku, na skraju lasu, zaczęły świstać wokół mojej głowy kule karabinowe. Znałam dobrze ten przejmujący świst. Co mogłam zrobić? Rzuciłam rower do małej fosy i przywarłam do niego z duszą na ramieniu. Nie czułam się w tej chwili żadną „pionierką", jak mnie zwykł żartobliwie nazywać inspektor szkolny, ani żadną bohaterką. Byłam bezbronną, bezsilną Stasią, która leżąc w tym rowie aż do zmroku i słuchając bzykania kul wystrzeliwanych nie wiadomo przez kogo, żegnała się z życiem, myśląc o Rzeszowie, o mamie, o dwu młodszych siostrach, które zapłakałyby się o mnie. Kiedy wszystko ucichło było już zupełnie ciemno. Wstałam i kompletnie wyczerpana fizycznie i psychicznie dowlokłam się do Nowej Wsi. Na drugi dzień dowiedziałam się, że to nasza Milicja Obywatelska likwidowała bandy młodocianych hitlerowców tzw. „Wilczków". Zdołano ich kilku schwytać i odstawiono na Komendę w Złotoryi. I to w związku z tym zabrano również moją Frau Heiland i szereg innych Niemców z Nowej Wsi na przesłuchanie.(...) Może to przyspieszy wreszcie ich repatriację?

Trudne chwile

Zastanawiałam się nieraz, co mnie trzyma w tej mojej Nowej Wsi? Chyba tylko wrodzone poczucie obowiązkowości. Bo właściwie są chwile, że czasem chętnie uciekłabym stąd. (...) Takich uczuć doznaję po każdej wycieczce do Chojnowa, Złotoryi, tak się czułam po odwiedzinach u p. Erbanów w Bolesławcu, po powrocie z konferencji w Legnicy. Czuję się tu tak samotnie. Towarzystwo starszego pana – kierownika szkoły, którego jestem jedyną pomocnicą, człowieka, który mi się nie podoba, towarzystwo Niemki, z którą zmuszona jestem rozmawiać po niemiecku, brak radia, brak prasy, którą czytuję sporadycznie, brak w ogóle wszelkich wygód, no i to marne jedzenie. Na śniadanie kubek czarnej kawy, albo herbaty – od czasu do czasu mleko, chleb – przeważnie smarowany marmoladą, na obiad kasza-siekanka okraszona cebulą przysmażaną na oleju, albo ziemniaki gotowane w łupinach na parze, do nich szpinak z pokrzywy (...). Zaiste wygląda, jakby wojna jeszcze się nie skończyła. Rozumiem, że są to trudności powojenne, ale chwilami mam dość. W dodatku te dzieciaki, są chwile, kiedy bardzo je lubię. A i one mnie lubią, (to wyczuwam). Rodzice Zenka Kwaśniaka powiedzieli mi kiedyś, że mają kłopot, bo ich syn zakochał się w pani nauczycielce – szczęście, że jest zaledwie uczniem 6. klasy. Są jednak też chwile, kiedy jestem na nie wściekła i rozgoryczona. Człowiek się stara, traktuje robotę jak najbardziej poważnie i serio, a jakie tego efekty? Nieraz płakać się chce, gdy się słyszy to dukanie i stękanie, gdy się spojrzy na ten poplamiony zeszyt z ośmi uszami. Nieraz myślę nad tymi, którzy zainstalowali się w miastach, podostawali tam piękne wyposażone mieszkania - ba, nawet domy. Czy nie lepiej było pójść ich śladem? Ale to należało uczynić na początku - kiedy się decydowałam na przyjazd w te strony. Bo teraz przeniesienie się np. na posadę do innej miejscowości będzie bardzo trudne. Kiedy wspomniałam o tym w czasie ostatniej bytności w inspektoracie - inspektor Stępień popatrzył na mnie i powiedział: „Mowy nie ma, panno Stasiu, jest was w powiecie 21 nauczycieli, jesteście pionierami, jesteście potrzebni, budujecie tu kulturę od nowa, ja pani nie puszczę". No tak, nie puści mnie, a ja nie ucieknę, bo i co zrobiłabym z sobą? Jak zarabiałabym na życie? Na szaber się przecież nie puszczę.(....) Przyjeżdżają tu na zachód ludzie z centralnej Polski, ale nie po to, żeby tutaj zamieszkać, żeby zacząć tworzyć życie od nowa i zagospodarowywać te tereny, ale po to, żeby nakraść, nałapać co się da, często wyłudzić za bezcen od miejscowych Niemców i wróciwszy w swoje strony, spieniężyć. Stąd w pociągach takie ogromne przepełnienie, stąd tyle tobołów ogromnego kalibru i ciężkości, stąd tyle tragedii. W czasie mojej podróży na Boże Narodzenie do Rzeszowa zdarzyła się tragedia, bo 7 ludzi z bagażami na dachu wagonu zostało strąconych przez wiadukt pod koła pociągu.

Wiosenne roboty

Wiosna. Wokoło robi się zielono. W naszym ogródku szkolnym zakwitły pięknie krokusy w różnokolorowych odcieniach. (....) Dzieci znoszą mi bukieciki fiołków zerwanych wokół dawnego ewangelickiego zboru. W Nowej Wsi zaczyna się ruch. Od jakiegoś czasu wyjeżdżają już w pole beczkowozy. Rodzice moich dzieci zajęci są głównie pracami polowymi. Rozmawiałam kiedyś ze starym Czarnotą, który stał przy swoim zagonie i rozcierał grudkę ziemi w palcach. Cmokał przy tym z uznaniem. Góral bieszczadzki nie spodziewał się, że dostanie tu zagony tak wspaniałej ziemi. Widać, jak ludzie orzą, sieją, bronują. Sadzi się też ziemniaki. Kiedyś przekonałam się na własnej skórze, jaka to jest ciężka robota. Ofiarowałam się pomóc matce Franka Pisarskiego, zresztą nie tylko ja, ale też inne dzieci wiejskie. Wypożyczony koń ciągnął jakąś wypożyczoną maszynę, która robiła w oranej ziemi dołki. Do tych dołków wrzucało się ziemniaki, oczywiście uprzednio odpowiednio przecięte. Szło się z koszykiem w ręku, w postawie lekko pochylonej i co chwilę – pac, pac. Plecy bolały, oj! , jak bolały. A jak mi potem smakowało kwaśne mleko z razowcem i jajecznicą u Pisarskiej!

Pani Stanisława otrzymała list z domu, w którym donoszono o tęsknocie i zaradnych siostrach, które zarabiały korepetycjami. Dziewczynki także okazały się wolontariuszkami i zbierały książki do bibliotek szkolnych na Ziemiach Odzyskanych. Mama delikatnie donosiła, że na południe i wschód od Rzeszowa grasowały bandy ukraińskie i dużo ludzi ginęło. W szpitalu leżało wielu żołnierzy, którymi opiekowała się młodzież.

Referendum 30.06.1946 r.

(...) Od rana tłumy mieszkańców ciągnęły do gminy w Pielgrzymowicach. Jedni pieszo, inni na rowerach, niektórzy wozami. Po drodze dyskusje polityczne. Wsie były do tego wydarzenia chyba należycie przygotowane. Czułam, że po akcji, którą prowadziło się u nas, a w której jako pani nauczycielka czynnie uczestniczyłam, wygłaszając pogadanki i rozmawiając z ludźmi, nie będzie wśród nas takiego, który by odpowiedział „nie" na jedno z trzech pytań umieszczonych na kartkach, jakie rozdane zostaną w urzędzie gminnym. Pierwsze pytanie dotyczyło zasad ustrojowych naszego Państwa: - Czy jesteś za zniesieniem senatu? Wielu ludzi naprawdę jakiś czas temu nie wiedziało dokładni, co to jest senat, jaką rolę odgrywał. Dziś już widzą i zdają sobie sprawę, jaka różnica dzieli i dzielić będzie ustrój Polski - tej przedwrześniowej - od tej naszej obecnie ludowej. A że życie w tej przedwrześniowej Polsce dało naszym ludziom tu mieszkającym dobrze po łbie, więc z ufnością w tę nową Polskę –pisali pod pierwszym pytaniem „tak". Drugie pytanie dotyczyło kierunku przeobrażeń ekonomiczno-społecznych. Tu było trochę wahań. Chłopi są jeszcze nieufni. Obawiają się, że pozamyka się ich w kołchozach, że zostanie odebrane im to, co otrzymali tu na zachodzie. Ale to tylko niektórzy. Większość jest za „reformą rolną i unarodowieniem podstawowych gałęzi produkcji" jak było w drugim pytaniu. No, a na trzecie pytanie: - Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic Państwa Polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie?" Wszyscy skwapliwie odpowiadali: "tak", rozumiejąc, że pisać „nie", byłoby to kierować broń przeciwko sobie. Tak więc oto kształtuje się nasza władza ludowa.

Stanisława i Zenon Sojowie, 2003 r.

Drugi dyplom

(...) Okazało się, że dyplom Liceum Ogólnokształcącego i zaświadczenie o ukończeniu sześciotygodniowego kursu pedagogicznego nie stanowią jeszcze wystarczających kwalifikacji zawodowych (....). Dowiedziałam się, że mogę złożyć w ciągu miesiąca uzupełniający egzamin dojrzałości w zakresie liceum pedagogicznego (....). Wsiadłam w pociąg do Rzeszowa... Tutaj przez cały dzień polowałam na potrzebne mi opracowania. Z dużą pomocą przyszła mi biblioteka pedagogiczna, a sporo notatek pożyczył mi Zenek Soja. Obładowana książkami wróciłam do Nowej Wsi. I oto wczoraj moje trudy uwieńczone zostały sukcesem. Złożyłam egzamin przed Państwowa Komisją Egzaminacyjną we Wrocławiu. Egzamin składał się z części pisemnej, praktycznej i ustnej. (....) W części praktycznej miałam poprowadzić lekcję w obecności Komisji (....) Przede mną około 30 nieznanych mi zupełnie dzieci. Jakież było moje zdumnienie kiedy po rozpoczęciu lekcji okazało się, że domniemana klasa IV jest zbieraniną uczniów z klas III, IV, i V. (...) Z miejsca przestawiłam się na system nauczania w klasach łączonych, podzieliłam dzieci na zespoły i uczyłam dalej tak jakbym to robiła w Nowej Wsi. Poszło mi świetnie. Dowiedziałam się, że jestem „urodzoną nauczycielką" i na drugi dzień z posiadanym w kieszeni dyplomem dojrzałości (...) wracałam na moją placówkę. Ale zaraziło mnie wielkie miasto i perspektywa studiowania w nim.

Po studiach Sojowie zamieszkali w Rzeszowie. Na świat przyszły kolejne dzieci, Barbara (1952) i Małgorzata (1958). Pani Stanisława uczyła języka polskiego a małżonek wychowania fizycznego. Pani Stanisława poświęcała wiele czasu pracy społecznej w Zarządzie Towarzystwa Literackiego im A. Mickiewicza i Komitecie Olimpiady Literatury i Języka Polskiego. Od 1990 roku rozpoczęła swoją jakże czynną pracę jako przewodnicząca Rzeszowskiego Koła Rodziny Katyńskiej (jej ojciec Ignacy Dec zginął w Katyniu w 1940 r). Stanisława Soja byłą członkinią Okręgowej Komisji Badań Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu oraz Wojewódzkiego Komitetu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Za swoją pracę i działalność uhonorowana została wieloma odznaczeniami państwowymi: Złoty Krzyż Zasługi, Złoty Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski, Medal Komisji Edukacji Narodowej), Medal Pro Memoria i inne. Zmarła w styczniu 2020, została pochowana w Rzeszowie.

Wspomnienia Stanisławy Soji do publikacji przygotowała Danuta Sosa, zdjęcia z archiwum rodzinnego.

Spotkanie Koła Rodzin Katyńskich i wręczenie Złotego Medalu Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, 1996 r.

Stanislawa Soja podczas spotkania z młodzieżą w SP Nr 22 w Rzeszowie, 2005 r.

Otwarcie Polskiego Cmentarza Wojennego, po lewej - Stanisława Soja z mężem, po prawej na pierwszym planie -młodsza siostra Stanisławy, Katyń 2000 r.

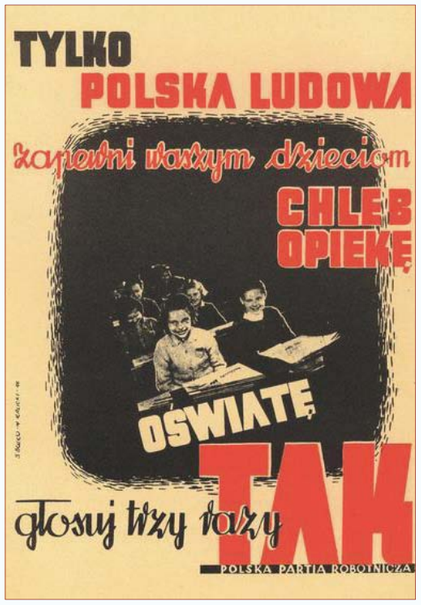

Plakat z 1946 r. - zachęcający do głosowania w fererendum za Polską Ludową

Uczestnicy Rajdu Jadwiżańskiego

Św. Jadwiga w Złotoryi - cz. 4
Spacery ze św. Jadwigą

Jadwiga nie tylko zawsze była u boku męża Henryka Brodatego w chwilach wielkich i ważnych. Pokonała najpierw wielkie odległości, przybywając z Bawarii, potem przemierzała cały Śląsk, od jego stolicy we Wrocławiu, przez Legnicę aż do Rokitnicy i ziemi złotoryjskiej. Trudno sobie wyobrazić, że mogłaby być nieobecna w trakcie nadania Aurum praw miejskich w roku 1211. W trakcie swoich częstych pobytów na zamku piastowskim w Rokitnicy odwiedzała polskich (słowiańskich) kopaczy złota na Kopaczu, a także niemieckich - osiadłych na Górze św. Mikołaja i wokół niej. Czyniła to zawsze pieszo. Od dawna jest także obecna nie tylko w działalności turystyczno-pielgrzymkowej Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej.

Ścieżka Św. Jadwigi. Dla upamiętnienia jej wędrówek TMZZ od roku 1998 organizuje rajdy ze Złotoryi do Rokitnicy, a w roku 2001 oddało do użytku (przy pomocy UM, UG i PGP „Bazalt") ścieżkę św. Jadwigi, która prowadzi od kościoła św. Jadwigi w Złotoryi do Wzgórza Zamkowego w Rokitnicy (6 km), gdzie znajdowała się kaplica św. Jadwigi. Na kamieniach medytacji wzdłuż ścieżki umieściliśmy cnoty teologiczne, którym hołdowała św. Jadwiga: Wiara, Nadzieja, Miłość, Umiar, Roztropność, Sprawiedliwość, Odwaga. Złotoryjska ścieżka jadwiżańska była pierwszą na Dolnym Śląsku (a zapewne w całej Polsce). Wzorowali się na niej później twórcy ścieżki w Trzebnicy, a następnie we Wleniu. Wiosną 2004 r. młodzież polska, czeska i bawarska posadziła 28 drzewek „przyjaźni i pojednania", zaś jesienią drzewka te ochrzczono, nadając im imiona z otoczenia osób Jadwigi. Kilka lat później rodzina Ceterów ufundowała 3 piaskowcowe ławy, które ustawiono przy kamieniu II, III i V. 11 kwietnia 2011 r. Wzgórze Zamkowe było miejscem widowiska historycznego, przygotowanego z okazji 800-lecia nadania Złotoryi praw miejskich, przez uczniów SP 3 ze Złotoryi pod kierunkiem Kajetana Kukli. Wybór miejsca i daty dziennej nie był przypadkowy. Nadanie praw miejskich nastąpiło bowiem najpewniej na zamku w Rokitnicy i jest wysoce prawdopodobne, że nastąpiło to 11 kwietnia 1211 r., ponieważ udokumentowany jest pobyt Henryka I Brodatego i Jadwigi w Rokitnicy właśnie tego dnia.

Szlak Źródlany. Wedle ustnej tradycji Jadwiga, wędrując po okolicznych wioskach, zatrzymywała się przy źródełkach. Od jej przy nich pobytu nazywano je źródełkami św. Jadwigi. W gminie Złotoryja są trzy takie źródełka: w Rokitnicy, Rzymówce i Jerzmanicach-Zdroju. Między tymi miejscowościami i źródełkami TMZZ przeprowadził kolejny szlak turystyczny – „źródlany". Długość trasy wynosi 15,5 km. Przejście piechotą takiej trasy mogłoby dla wielu być uciążliwe i dlatego zakwalifikowano ten szlak jako rowerowy. Pierwszy rajd odbył się 21 kwietnia 2006 r.

Szlak Czterech Świątyń Jadwiżańskich. Pokłosiem bytności Jadwigi na ziemi złotoryjskiej są m.in. liczne fundacje. Aż cztery świątynie w powiecie złotoryjskim noszą imię Jadwigi: w Prusicach, Sokołowcu, Wysocku i Złotoryi. Między miejscowościami, w których świątyniom patronuje św. Jadwiga, TMZZ zaproponował kolejny szlak turystyczny (ok.30km), także rowerowy (od 2007r). Z uwagi na brak ścieżek rowerowych wytyczenie „sztywnej trasy" nie jest możliwe. Toteż organizator umożliwia grupom lub indywidualnym uczestnikom dotarcie do określonej miejscowości na ustaloną godzinę, przez siebie obraną trasą. Punktem spotkań są kościoły, w których proboszczowie opowiadają uczestnikom o historii swojego kościoła, jego walorach architektonicznych, przedstawiają najcenniejsze zabytkowe elementy.

Odznaka Jadwiżańska. Zgodnie z ustalonym regulaminem, każdy uczestnik rajdu może zdobyć trzystopniową (brązową, srebrną, złotą) turystyczną odznakę jadwiżańską, jeśli spełni wymagane kryteria. Oczywiście, odznakę zdobyć może nie tylko uczestnik wspomnianych rajdów. Odznakę zdobywać mogą osoby, które ukończyły 7 lat. Czas zdobywania odznaki jest nieograniczony. Odznakę zdobywać można pieszo lub rowerowo, a także z wykorzystaniem innego środka transportu - indywidualnie, w gronie rodziny lub w grupach zorganizowanych. W jednym roku kalendarzowym uzyskać można dwa stopnie odznaki. Osoba ubiegająca się o stopień brązowy zobowiązana jest przemierzyć dwukrotnie Ścieżkę św. Jadwigi (nie zalicza się przejść odbytych tą samą trasą w kierunku przeciwnym), zwiedzić dwa kościoły p.w. św. Jadwigi na terenie powiatu złotoryjskiego, zwiedzić jedną miejscowość ze źródełkiem św. Jadwigi na terenie powiatu złotoryjskiego. Ubiegający się o stopień srebrny zobowiązany jest trzykrotnie przemierzyć Ścieżkę św. Jadwigi, zwiedzić trzy kościoły pod jej wezwaniem na terenie powiatu złotoryjskiego, zwiedzić dwie miejscowości ze źródełkiem św. Jadwigi. Złoty stopień odznaki otrzymuje się za trzykrotnie przejście Ścieżką św. Jadwigi, odwiedzenie czterech kościoły jej wezwania na terenie powiatu złotoryjskiego oraz dotarcie do trzech miejscowości ze źródełkiem św. Jadwigi. Regulamin, opisy szlaków i zabytków oraz książeczkę odznaki otrzymać można w siedzibie TMZZ (59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1, kontakt z R. Gorzkowskim, tel. 661743992).

Ścieżka przyrodniczo-historyczna „Zamkowe wzgórze" w Rokitnicy. Wytyczona została z inicjatywy złotoryjskiego Nadleśnictwa w 2011 r. Jedna z tablic na tej trasie znajduje się przy samym źródełku św. Jadwigi. To zapomniane po 1945 r. miejsce uporządkowało po raz pierwszy TMZZ w 2005 r., a rok później wytyczyło Szlak Źródlany.

Marsze Wszystkich Świętych. Odbywają się od 2014 r., organizowane przez parafię Narodzenia NMP przy udziale parafii św. Jadwigi i parafii św. Józefa Robotnika. W procesji, zmierzających corocznie do różnych złotoryjskich kościołów, relikwie i wizerunek św. Jadwigi wędrują wspólnie z relikwiami św. Jana Pawła II, św. o. Pio, św. Faustyny Kowalskiej i bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Kapłani udzielają błogosławieństwa relikwiami, a następnie każdy indywidualnie może podejść, aby uczcić relikwie.

Roman Gorzkowski

Złotoryjskie zagadki
Spotkanie ze św. Jakubem

Na obrazie Martina Bernata z XV w. widzimy ciało Świętego, tuż przed pochowaniem w Santiago de Compostela w Hiszpanii. Na nakryciach głowy apostoła i jego uczniów widzimy muszle, symbole pielgrzymów. Na którym ze złotoryjskich zabytków znajduje się postać św. Jakuba? Czy również możemy rozpoznać go po muszli? Chętnie zamieścimy fotografię „naszego" patrona pielgrzymów.

Roman Gorzkowski

Scenka - Rokitnica 1211 r.

Marsz Wszystkich Świętych

Źródełko Św. Jadwigi

Odznaki rajdowe

Składanie wieńców na płycie pomnika żołnierzy radzieckich poległych w walce o wyzwolenie Złotoryi

Pobieranie ziemi do urny - 1988 r.

Dzieje złotoryjskich pomników - cz. 8
Pomnik z czerwoną gwiazdą

Choć historia pomnika związana jest z cmentarzem żołnierzy Armii Czerwonej, tylko niejako na marginesie opisujemy sam cmentarz. Wszystkim złotoryjskim cmentarzom zamierzamy poświęcić obszerne charakterystyki.

Góra Mikołaja kojarzona jest z kilkoma nekropoliami. Pierwszy cmentarz powstał w średniowieczu wokół kościoła św. Mikołaja, następny założyła miejscowa gmina żydowska, najprawdopodobniej w XVII-XVIII wieku. Od XVI wieku na najwyższym tarasie wzniesienia chowano protestantów, na niższym (powojenny cmentarz dziecięcy) katolików. Nic dziwnego, że w 1945 r., gdy przenoszono rozproszone na terenie powiatu mogiły żołnierzy radzieckich w jedno miejsce, na ich cmentarz wybrano niewielki teren przy ul. Cmentarnej.

Jak pisał w styczniu i marcu 1947 r. Zarząd Miejski w Złotoryi do Referatu Odbudowy Starostwa Powiatowego, w mieście istnieje: "cmentarz sowiecki, założony w 1945 r. na ul. Cmentarnej, były właściciel Hanke, na cmentarzu znajduje się 31 grobów pojedynczych i 9 masowych, ogrodzenie płot siatkowy, ogólna powierzchnia wynosi 3 750 m2, cmentarz pod zarządem miejskim, na cmentarzu stoi pomnik w postaci prostosłupa ściętego, zakończonego kulą, na pomniku gwiazda oraz napis. Pomnik otoczony słupami powiązanymi łańcuchem żelaznym". Choć jest to najstarszy do tej pory odnaleziony powojenny przekaz, trudno stwierdzić, kiedy powstał sam pomnik, z pewnością istniał już w 1946 r.

Cokół pomnika to kwadrat o wymiarach 500x500 cm, całkowita wysokość betonowego ostrosłupa: 3,30 m. W dolnej części znajduje się tablica z napisem:
ВЕЧНАЯА СЛАВА ВАМ ГЕРОЙ
ВЫ ЧЕСТНО СЛУЖИЛИ РОДИНЕ
И РОДИНА БАС НИКОГДА НЕ ЗАБУДЕТ.
(Wieczna chwała Wam bohaterom, wiernie służyliście ojczyźnie i ojczyzna o Was nigdy nie zapomni). Powyżej umieszczono centralnie czerwoną gwiazdę, wykonaną z blachy, na szczycie betonową kulę.

Otoczenie pomnika zmieniło się radykalnie w 1952 r. Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w sprawozdaniu z działalności w tym okresie informowało, że na cmentarzu poległych żołnierzy Armii Radzieckiej została przeprowadzona ekshumacja zwłok w dniu od 15 do 18 listopada 1952 r. na cmentarz do Chocianowa, pow. Lubin legnicki. Pomnik, który pozostał ku czci poległych żołnierzy, został przekazany do Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej we Wrocławiu. Z ziemi wydobyto wówczas 198 zwłok.

Oczywiście nie chodziło o "fizyczne" przekazanie pomnika. Pozostał on na swoim miejscu, a właścicielem terenu było Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. W praktyce już wcześniej pomnikiem i cmentarzem opiekowało się miejscowe koło Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, które, jak znów informują dokumenty, utrzymywało cmentarz w należytym porządku. Władze miasta corocznie zlecały pracownikom Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej uporządkowanie terenu, zwłaszcza przed kolejną rocznicą "wyzwolenia miasta", przypadającą w lutym. Wtedy liczne delegacje składały kwiaty, nie brakowało przedstawicieli Armii Radzieckiej.

Jedyna w swoim rodzaju uroczystość miała miejsce 8 września 1988 r. Wtedy, jak zapisano w kronice Koła Miejskiego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, "pobrano ziemię do urny Żołnierzy Radzieckich – wyzwolicieli spod jarzma hitlerowskiej niewoli. Pobrania dokonali: 1. Prezes Koła Miejskiego ZBoWiD kpt. rez. inż. Stanisław Mikus wspólnie z aktywem: st. sierż. rez. Cz. Michniewicz, sierż. rez. T. Markiewicz, sierż. rez. W. Gogola, st. kpr. rez. W. Zdeb, kpr. rez. J. Paszkiewicz. Prochy ziemi tej zostaną umieszczone w Mauzoleum uczestników II wojny światowej Żołnierzy Radzieckich w Orenburgu w Ziemi Ojczystej".

W 1952 r., jak informują archiwalia, pomnik znajdował się w dobrym stanie i nie wymagał remontu. Później było gorzej. Jesienią 1996 r. Krzysztof Maciejak, dziennikarz "Gazety Robotniczej", pisał: "W niewielkim lasku, obok cmentarza komunalnego, stoi mocno zaniedbany pomnik sławiący męstwo żołnierzy Armii Czerwonej. Na czarnej tablicy umieszczono napis w języku rosyjskim, z którego wynika, iż "Ojczyzna nigdy nie zapomni" swych synów. A jednak". W 2001 r. obelisk oraz teren byłego cmentarza radzieckiego doczekał się odnowienia oraz uporządkowania. W tym czasie właściwie już tutaj nic specjalnego wokół pomnika się nie działo, choć trzeba odnotować zamalowanie inskrypcji i pojawienie się na napisu "Za Katyń huje", porządkowanie b. cmentarza przez członków Stowarzyszenia Przyjaciół Złotoryi "Aureus Mons" oraz zerwanie (2017?) czerwonej gwiazdy.

22 października 2018 r. w Urząd Wojewódzki poinformował burmistrza Złotoryi, że do tutejszego Urzędu wpłynęła informacja o rzekomym istnieniu pomnika poświęconego Armii Czerwonej, znajdującego się przy ul. Cmentarnej w Złotoryi. Wojewoda wskazał, że "zgodnie z artykułem 5a ustawy z 1 kwietnia 2016 r. o zakazie propagowania kumunizmu lub innego ustroju totalitarnego [...] pomniki nie mogą upamiętniać osób, organizacji, wydarzeń lub dat symbolizujących komunizm lub inny ustrój totalitarny, ani w inny sposób takiego ustroju propagować. W świetle art. 3 ustawy z dnia 22 czerwca 2017 r. o zmianie jednostek organizacyjnych, jednostek pomocniczych gminy, budowli, obiektów i urządzeń użyteczności publicznej [...] pomnik taki powinien zostać usunięty do dnia 31 marca 2018 r.". Wojewoda jednocześnie poprosił o weryfikację opisanej informacji, aktualne zdjęcia oraz informacje o historii pomnika, dokładną lokalizację oraz określenie właściciela gruntu.

W odpowiedzi, skierowanej do Urzędu Wojewódzkiego 6 listopada 2018 r., władze miasta pisały, że zgodnie z art. 5a ust. 3 pkt 2 ustawy z 1 kwietnia 2016 r. przepisu nie stosuje się do pomników znajdujących się na terenie cmentarzy lub innych miejsc spoczynku i dlatego pomnika nie usunęły. Przywołały fragment miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego, który określa ten obszar jako teren dawnego cmentarza wojskowego poległych żołnierzy Armii Czerwonej i stwierdza, że należy zachować historyczny układ przestrzenny dawnego cmentarza wojskowego, kompozycję układu zieleni, obelisk oraz układ ścieżek i czytelny w terenie zarys cmentarza.

16 listopada nadeszła odpowiedź Urzędu Wojewódzkiego: "...jak wykazała wizja lokalna, na terenie tym stwierdzono jedynie obecność ww. pomnika [...]. W prowadzonej ewidencji obiektów cmentarnictwa wojennego nie występuje żaden taki obiekt w Złotoryi. Również w "Katalogu miejsc pochowania żołnierzy i jeńców Armii Sowieckiej poległych w II wojnie światowej na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej", wydanym w 2003 r. przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Federacji Rosyjskiej przy współpracy z Radą Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, nie ujęto tego obiektu. Powyższe wskazuje, że w miejscu tym obecnie nie ma cmentarza wojennego". Podpisany pod pismem Mariusz Czerkawski, dyrektor Wydziału Infrastruktury, poprosił w imieniu wojewody o przekazanie dokumentów i informacji na temat cmentarza oraz ekshumacji, aby można było podjąć dalsze decyzje odnośnie pomnika oraz zaktualizować ewidencje cmentarzy wojennych. Wymiana korespondencji zakończyła się pismem burmistrza miasta z 4 grudnia 2018 r., w którym spełniono prośbę wojewody, dodając ponadto: "Obecnie nie możemy jednoznacznie stwierdzić, czy wszystkie zwłoki żołnierzy zostały ekshumowane i czy pod pomnikiem nie znajdują się jeszcze jakieś szczątki żołnierzy. Dla rodzin ofiar i mieszkańców jest to miejsce pamięci o poległych żołnierzach, którzy walczyli na tych ziemiach, dlatego co roku na początku listopada do Złotoryi przyjeżdża delegacja z konsulatu rosyjskiego, składa kwiaty na cokole i zapala znicze". Wojewoda nie kontynuował, jak na razie, tego wątku. Można ostrożnie sądzić, że podzielił argumentację burmistrza.

Jak widać, władze miasta dostrzegły rożnicę w charakterze pomnika na terenie byłego cmentarza radzieckiego, a pomnika LWP, rozebranego w 2018 r. Przy okazji, przekazano Wojewodzie Dolnośląskiemu kopię kilku ważnych dokumentów (protokół z ekshumacji, kartę i plan cmentarza, spis pochowanych żołnierzy, archiwalne fotografie), nieznanych do tej pory jego urzędnikom – a właśnie do kompetencji wojewodów należą sprawy ewidencji grobów i cmentarzy wojennych.

Zarząd Miejski Związku Weteranów i Rezerwistów Wojska Polskiego im. Powstańców Wielkopolskich zawiadomił o całej sprawie swoją centralę. Ostatnie do tej pory pismo, związane z pomnikiem, dotarło do burmistrza 14 grudnia 2018 r.

Pułkownik w stanie spoczynku Krzysztof Majer, wiceprezes Zarządu Głównego ZWiRWP, zarazem prezes Zarządu Dolnośląskiego ZWiRWP tak ocenił postawę władz Złotoryi: "Chciałbym przekazać słowa poparcia dla decyzji władz miasta o pozostawieniu pomnika-obelisku poświęconego żołnierzom Armii Czerwonej przy ul. Cmentarnej. To przecież dzięki życiu tych 198 żołnierzy z czerwoną gwiazdą na hełmach ziemia złotoryjska powróciła do Macierzy. Pomimo wcześniejszej ekshumacji, pozostała wśród mieszkańców pamięć, że ich krew wsiąkła na stałe w naszą Ziemię Piastowską. Uważamy pomysł likwidacji pomnika za barbarzyństwo zwłaszcza, że jest współczesnym świadectwem naszej skomplikowanej historii". Płk Majer skierował swoje pismo do wiadomości Ambasady Federacji Rosyjskiej w Warszawie, Konsulatu Generalnego Federacji Rosyjskiej w Poznaniu oraz Zarządu Miejskego ZWiRWP w Złotoryi.

Pomimo tego, że nie żywimy do żołnierzy ACz jako takich, ani do ich roli podczas wojny oraz po jej zakończeniu żadnej atencji, podzielimy się na zakończenie pewną myślą, ryzykując okrzyknięcie rusofilem lub postkomuchem. Skoro ich pomnik zapewne pozostanie na swoim miejscu, to może warto odrestaurować gwiazdę i wykonać ją z takiego materiału, aby nie wzbudzała pożądania zbieraczy złomu?

Roman Gorzkowski, Przemysław Markiewicz

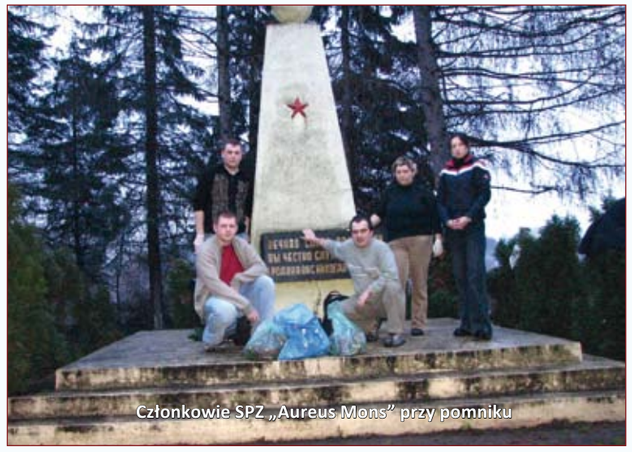

Członkowie SPZ „Aureus Mons" przy pomniku

Czas na ławeczkę z Reymontem!

Gdy niniejsze "Echo" trafi do rąk czytelników, zapewne zakończy się już budowa ronda na pl. Władysława Reymonta i rozpoczną się prace nad projektem zagospodarowania przestrzeni od ronda do domu kultury. Najwyższy więc czas, aby nie zapomnieć o tym, że już w czerwcu 2015 r. zaproponowaliśmy zastąpienie pomnika Reymonta ławeczką z jego postacią! Miesiąc później Echo" powróciło do tej idei, pokazując takie właśnie ławeczki w kilku polskich miejscowościach.

Gdyby tak się stało, powinni być zadowoleni wszyscy złotoryjanie, którzy bardzo przywiązali się do pomnika Reymonta, bo przecież ten pomnik nie jest z pewnością symbolem miasta, a sam pisarz nie był z nim w jakikolwiek sposób związany. Z jaką frajdą jego fani mogliby fotografować się obok swego bohatera! Podkreślmy, że nie widzimy potrzeby zmiany samej nazwy tego placu.

Roman Gorzkowski

O stanie wojennym w Złotoryi - dokumenty, pamiętniki i wspomnienia

19 września 2020 r. w Sali Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji odbyło się spotkanie promujące wydaną niedawno książkę *Stan wojenny w Złotoryi*. Wzięli w niej udział autorzy: pomysłodawca publikacji, złotoryjski historyk, Roman Gorzkowski, Agnieszka Młyńczak, Andrzej Kuna i Andrzej Wojciechowski oraz osoby, które przyczyniły się do jej powstania i wydania: burmistrz Złotoryi, Robert Pawłowski, pozostali darczyńcy, autorzy wspomnień, a także licznie zebrani mieszkańcy. Spotkanie prowadziła Agnieszka Młyńczak, która wraz z pozostałymi autorami odczytała fragmenty książki pozwalające zebranym przenieść się w ponure czasy początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku.

Pomysł zebrania i wydania w formie publikacji wspomnień, relacji i dokumentów dotyczących tych wydarzeń zrodził się w trakcie przygotowań do konferencji popularnonaukowej *Stan wojenny w Złotoryi 13 grudnia 1981 – 22 lipca 1983,* która odbyła się pod patronatem burmistrza 13 grudnia 2017 r. w ZOKiR. Mimo że dramatyczne wydarzenia związane z protestami związkowców nie rozgrywały się w Złotoryi, lecz przede wszystkim w regionie (kopalnia „Rudna" w Polkowicach, Lubin), to jednak czas stanu wojennego odcisnął i na jej mieszkańcach swoje piętno.

Po trzech latach, w 2020 r. trafił do rąk czytelników tom będący pokłosiem konferencji. Książka powstała zarówno dzięki determinacji Romana Gorzkowskiego, jak i innych osób zaangażowanych w przygotowanie sesji, która nie ograniczyła się jedynie do wygłoszenia referatów. Towarzyszyły jej elementy scenografii oraz przedmioty charakterystyczne dla epoki, a także plakaty, ulotki, znaczki pocztowe, fotografie, dokumenty, kartki żywnościowe, bilety kolejowe, egzemplarze tygodnika „Solidarność" z lat 1980-1981. Pochodziły one z prywatnych zbiorów mieszkańców. W liczącej ponad 40 stron kolorowej wkładce znajdują się zdjęcia kilkudziesięciu zgromadzonych wówczas eksponatów, choć niektórzy pozbyli się materialnych dowodów przynależności do solidarnościowego ruchu z obawy przed represjami. Wielu świadków tamtych wydarzeń już nie żyje, ale aż 67 mieszkańców przekazało autorom swoje wspomnienia, mając nadzieję, że wzbogacą kolejne pokolenia o bezcenną wiedzę. Młodym ludziom w poruszaniu się po nieznanych im obszarach historii pomogą na pewno zamieszczone na końcu książki indeksy wymienionych w niej osób oraz obszerny wykaz skrótów. Nie wszyscy wiedzą, że przedstawiany w postaci czarnej wrony WRON to Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, a stacjonujący na Kopaczu tzw. Batalion Centralnego Podporządkowania ściśle związany był z ZOMO". Pamiętają to jednak doskonale ci, którzy w tamtym czasie prowadzili pamiętniki – fragmenty dwóch z nich znajdują się w publikacji, pozwalając czytelnikom spojrzeć na opisywane wydarzenia z innej perspektywy – oczami młodych złotoryjan, podobnie jak wspomnienia ówczesnego studenta Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie i doktoranta Politechniki Wrocławskiej. Do książki dołączone jest również dokładne kalendarium, zawierające wydarzenia rozgrywające się zarówno w Polsce, jak i w regionie. Obejmuje ono lata 1980-2018, uwzględnia bowiem różne formy upamiętnienia wydarzeń z okresu stanu wojennego. Obszerna bibliografia odsyła do źródeł, z których korzystali autorzy i unaocznia ich różnorodność – od publikacji naukowych, poprzez artykuły prasowe po kroniki i pamiętniki z prywatnych archiwów.

Wstępem do szczegółowego zapisu wydarzeń jest pierwszy rozdział książki, poświęcony zarysowi działalności NSZZ „Solidarność" z punktu widzenia historyka. Roman Gorzkowski przedstawia w nim historię powstania komisji zakładowych oraz Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej, wymienia działaczy związkowych w poszczególnych zakładach pracy, a także opisuje reakcję władz na powstanie nowego związku. Z kolejnych rozdziałów można się dowiedzieć, jak wyglądały pierwsze tygodnie stanu wojennego, a także jak toczyło się w tym czasie codzienne życie mieszkańców (godzina milicyjna, ograniczone do minimum zaopatrzenie sklepów, cenzura korespondencji, reżimowa telewizja). Dla młodszych czytelników zaskoczeniem może być szczegółowo opisany system reglamentacji towarów, starsi na pewno pamiętają charakterystyczne kartki na różne artykuły, które umożliwiały zakup określonej liczby produktów i szybko stały się przedmiotem handlu oraz wymiany. Jeden z rozdziałów poświecony jest funkcjonowaniu szkół, urzędów i organizacji, a także życiu kulturalnemu w mieście – z jednej strony sterowanemu przez władze państwowe (oficjalne uroczystości, nieodłączna indoktrynacja), a z drugiej – wykraczającemu poza oficjalne ramy.

Nikt z mieszkańców Złotoryi nie był wprawdzie internowany, ale dotknęły ich różnego rodzaju represje (zatrzymania, przesłuchania, rewizje). Jeden z rozdziałów poświęcony jest tym osobom, które były prześladowane z powodu swoich postaw i działań. Wśród nich był ówczesny dyrektor Zespołu Szkół Zawodowych, Aleksander Biedak, który padł ofiarą akcji „Klon". Jako jedyny w regionie dyrektor szkoły został pozbawiony stanowiska. Mieczysław Demczuk z kolei brał udział w strajku Zakładów Górniczych „Lubin", w wyniku czego zatrzymano go, pobito, a następnie skazano na dwa miesiące więzienia. Autorzy opisali również procesy dwóch uczniów złotoryjskich szkół średnich – Waldemara Dmitrowskiego i Mirosława Janica, których Sąd Śląskiego Okręgu Wojskowego uznał za winnych antypaństwowych działań (posiadanie zabronionych przedmiotów, rozwieszanie plakatów) i skazał na karę więzienia w zawieszeniu. W rozdziale tym można znaleźć informacje również o innych represjonowanych.

Osobny rozdział poświęcony został formacjom mundurowym kojarzącym się Polakom z okresem stanu wojennego. Najbardziej znane to stacjonujący na Kopaczu garnizon BCP, ale działały wówczas na terenie Złotoryi również inne (np. ORMO), a wielu złotoryjan powołano do służby wojskowej w różnych miejscach w kraju.

Do Złotoryi docierały drukowane poza miastem materiały (gazetki, ulotki, plakaty), które dotyczyły wydarzeń toczących się w większych dolnośląskich miastach (Wrocław, Legnica, Lubin), a na murach pojawiły się pisane kredą hasła, znaki Polski Walczącej i napisy „Solidarność". W rozdziale zatytułowanym *W podziemiu. Napisy, „bibuła" i flagi* opisane są również inne formy przeciwstawiania się systemowi oraz ograniczeniom wprowadzanym przez władze, a także nieadekwatne do ich wagi sankcje, co spowodowało chociażby zwiększenie liczby spraw rozpatrywanych przez Kolegium ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta.

Tak jak w wielu innych miastach, ruch solidarnościowy był wspierany przez Kościół. W całej Polsce odprawiano msze w intencji zawieszonego związku NSZZ „Solidarność" i w intencji Ojczyzny. Autorzy poruszyli zatem i ten temat, poświęcając mu osobny rozdział i wspominając między innymi udział licznego grona złotoryjan w spotkaniu z papieżem Janem Pawłem II, które odbyło się w czerwcu 1983 roku na wrocławskich Partynicach. Nie bez znaczenia była dla wiernych możliwość współpracy z ówczesnym proboszczem, ks. Stanisławem Jakubowskim, o której wspominała Maria Polakiewicz.

Dotychczas najwięcej uwagi okresowi stanu wojennego w Złotoryi poświęciła Justyna Karpińska, w swojej pracy magisterskiej o naszym mieście w latach 1980-1989. Książka pod redakcją Romana Gorzkowskiego i Agnieszki Młyńczak stanowi najpełniejsze kompendium wiedzy o tamtych czasach, które nie powinny odejść w zapomnienie. Autorzy zadedykowali ją złotoryjanom, którzy mieli odwagę prowadzić działalność niepodległościową i nie utracili wiary w nadejście ustroju demokratycznego. Publikację można nabyć w Centrum Informacji Turystycznej przy ul. Basztowej oraz sekretariacie Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji, a jej autorzy czekają na nowe relacje, pamiątki lub uzupełnienia.

Publikację można nabyć w Centrum Informacji Turystycznej przy ul. Basztowej oraz sekretariacie Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji, a jej autorzy czekają na nowe relacje, pamiątki lub uzupełnienia.

Anna Maćkowska, Barbara Porębska

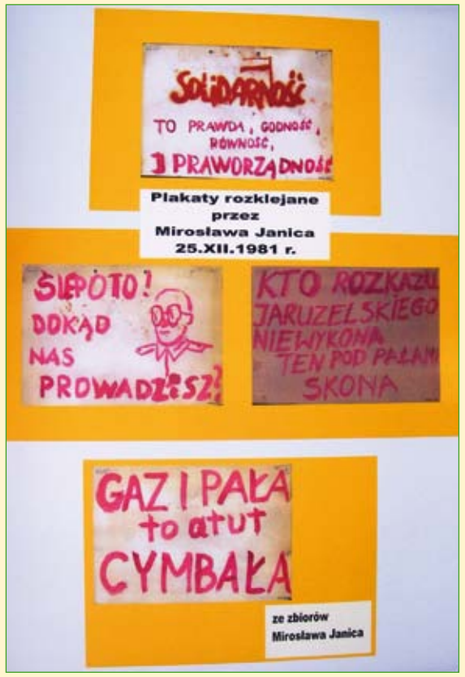

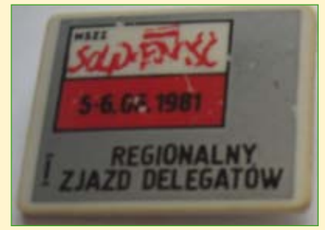

Historia jednej fotografii

W czasach świetności

Nie ukrywamy, że jest to fotografia sprzed 1945 r. Tak wyglądał wtedy jeden z największych kościołów naszego powiatu i w takiej postaci dotrwał do pierwszych lat powojennych. Obecnie pozostały tylko ruiny. Czy ktoś z czytelników potrafi odpowiedzieć na pytanie, o jaką świątynię chodzi oraz nadesłać jej aktualne zdjęcie?

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Osiedle, kiedyś nowe, a dzisiaj?

Widokówka pochodzi z 1933 r. i przedstawia jeden z najnowszych wtedy fragmentów Złotoryi. Prosimy o zlokalizowanie tego obszaru miasta oraz podanie nazw wszystkich widocznych ulic. Czy nazwa którejś ulicy zmieniła się po wojnie?

Roman Gorzkowski

Warto przeczytać „Druga twarz Liegnitz"

Czasami warto zaglądać na podwórko sąsiada, zwłaszcza tego, u którego często się bywa. Dlatego tym razem polecamy **„Drugą twarz Liegnitz. Eseje o architekturze w Legnicy końca XIX wieku"** autorstwa historyka sztuki Rogera Piaskowskiego i fotografa Wojciecha Morawca. Książka poświęcona jest legnickiej architekturze widzianej z pozycji uważnego spacerowicza z bardzo emocjanalnym stosunkiem do tego wszystkiego, co tworzy klimat i „ducha" miasta. Pozycje te powstały po zrealizowanym cyklu spotkań pn. „Historyzm po legnicku", odbywajacych się z inicjatywy Legnickiej Biblioteki Publicznej oraz Stowarzyszenia „Pamięć i Dialog". Książkę wydał Edytor w 2017 r. W marcu br. ukazała się druga część tego sentymentalnego przewodnika.

Joanna Sosa-Misiak

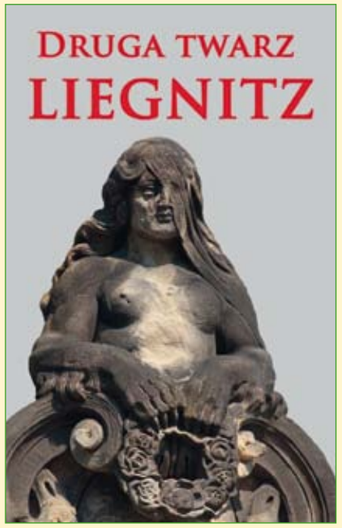

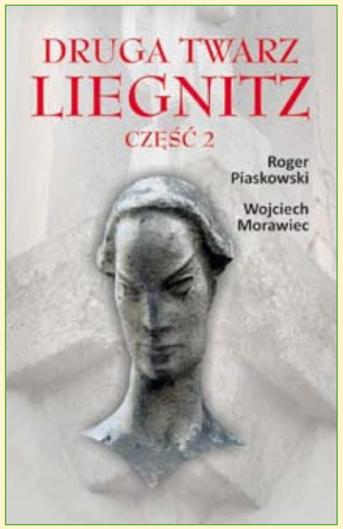

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ

32 LAT
1987 - 2017

ECHO ZŁOTORYI

ZŁOTORYJSKI KLUB FOTOGRAFICZNY

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej liczy sobie 32 lata. A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej,
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1,
e-mail: tmzz@tmzz-zlotoryja.pl; tel.: 571254858.

TMZZ zdobył tytuł Laureata w VI edycji konkursu zDolne NGO

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w 2019 roku:
VIII Złotoryjski Przegląd Kultury Kresowej, XVIII Powiatowy Dzień Regionalisty, XXII Rajd Jadwiżański, Spotkania poświęcone Powstaniom Śląskim i Wielkopolskiemu, Wydanie biblioteczki TMZZ t. XIII pt. „Inskrypcje złotoryjskie od XV- do połowy XX w.”.

* OŚRODEK DOKUMENTOWANIA I OPRACOWYWANIA DZIEJÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ
* ECHO ZŁOTORYI
* BIBLIOTECZKA MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ
* ZŁOTORYJSKI KLUB FOTOGRAFICZNY
* KOŁO KRESOWIAN
* KLUB KOLEKCJONERA
* RAJDY I SZLAKI ŚW. JADWIGI ORAZ ŚW. JAKUBA

GALERIA SPONSORÓW

TO MIEJSCE
CZEKA NA TWOJĄ
REKLAMĘ

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT
"Bazalt" SA w Wilkowie

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO ZŁOTORYJA

Lena
Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel.+48 768783 480, fax +48 76 8783 212

VITBIS
szklane bombki choinkowe

POAR
Złotoryja

grysy bazaltowe
STONESPOL
* płukanki
* kolorowe
* posypki
* mączki
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

ECHO ZŁOTORYI

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus”), tel. 571254858,
Internet: www.tmzz-zlotoryja.pl, www.facebook.com/echo.zlotoryi, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli społecznie: Roman Gorzkowski, Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Damian Komada (skład), Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Krystyna Rybicka i Bogusław Cetera (dystrybucja), Danuta Sosa, Joanna Sosa-Misiak (redaktor naczelna).

Zdjęcie na okładce: Krystyna Gąsior, Powitanie jesieni.

Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok